

Zeszyty historyczne

*Stowarzyszenie-Klub Kawalerów
Orderu Wojennego Virtuti Militari*



Warszawa, Październik Nr 4/2006

Zeszyty Historyczne

Wydawca:
Stowarzyszenie Klubu Kawalerów
Orderu Wojennego Virtuti Militari

Al. Niepodległości 141, pok. 521, 522, 523
 tel. (0-22) 684-26-08

Dyżury redakcyjne: wtorki, w godz. 10 – 12

Konto bankowe:
 45 1020 1013 0000 0802 0122 5747

Zespół redakcyjny:
 Zdzisław Piłatowicz – redaktor naczelny
 Andrzej Gładkowski – z-ca redaktora naczelnego
 Monika Rogowicz – redakcja, korekta i skład komputerowy

Stała współpraca:
 cichociemny płk Stefan Bałuk („Starba”)

Okładka wg projektu:
 Dorota M. Kloc – Isajew

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i skrótów
 w nadesłanych materiałach.

SPIS TREŚCI:

1. **Operacja FRESTON – relacja członka grupy**.....str.3-14
2. **Brytyjska misja FRESTON – relacja oficera osłony akcji FRESTON przez AK**.....str.15-17
3. **Działalność wydziału legalizacji i techniki „AGATON I” i „AGATON II”**str.18-21
4. **Biografie:**
 - Adam Borys - dowódca „Parasola”str.22-27
 - Bronisław Pietraszewicz – Mały Sabotaż i zamach na Kutcherę.....str.....27-31
 - Aleksander Stpicyński – emisariusz Komendy Głównej AK.....str..... 32-35
 - Wspomnienie o gen. Michale Gutowskim.....str.....36-38



Publikacja dotowana ze środków
 Ministerstwa Obrony Narodowej

**ZESZYTY HISTORYCZNE
KLUBU KAWALERÓW ORDERU WOJENNEGO
VIRTUTI MILITARI**

WSTĘP

W kolejnym, czwartym już numerze „Z.H.” kontynuujemy publikacje bezpośrednio związane tematycznie z konspiracyjnym wywiadem AK oraz piszemy o umożliwieniu jego działania przez dostarczanie wyrabianych konspiracyjnie dokumentów dla potrzeb tzw. legalizacji osób głęboko zaangażowanych w działalność niepodległościową.

Jednym z ważnych, końcowych akcentów tajnych działań alianckich było przyjęcie ze zrzutu na terenie kraju angielskiej misji wojskowej, o kryptonimie FRESTON. Jej zadaniem było dostarczenie bezpośrednich informacji z okupowanej Polski przez angielskich oficerów wywiadu i wyjaśnienie przez nich stosunków wojskowych i politycznych pomiędzy Polakami a Sowiecami końcowej fazy wojny. Na ile misja ta mogła spełnić swe zadanie, przedstawiamy to w dwóch osobnych relacjach: bezpośrednio relacjonującego przebieg tej misji jednego z jej członków oraz dowódcy oddziału osłony AK misji FRESTON.

Jako uzupełnienie wspomnień tak różnorodnej, pełnej akcji działalności konspiracyjnej – zamieszczamy BIOGRAFIE kilku wybitnych ludzi biorących w niej udział. W ten sposób przybliżamy w *Zeszytach Historycznych* pamięć o tych, o których zapomnieć nie można.

REDAKCJA

OPERACJA FRESTON

Misja Brytyjska

w Polsce – 1944 / 1945

Relacja

**kpt. rez. Antoniego Pospieszalskiego ps. „Łuk”
Kawalera Orderu Wojennego Virtuti Militari V kl.**

Londyn 1976

Gdyby doszło do wysłania brytyjskiej misji wojskowej do Polski w roku 1943 albo w pierwszej połowie 1944 roku, w okresie „Burzy” i przed Powstaniem Warszawskim, misja taka mogłaby zaważyć na działaniach Armii Krajowej, na stosunku zwycięskiej Armii Czerwonej do polskiego wysiłku zbrojnego, a może nawet postanowieniach w Jaltie.

Operacja „Freston” doszła jednak do skutku dopiero pod sam koniec roku 1944 i to na 3 tygodnie przed ostatnią wielką ofensywą sowiecką, która zatrzymała się dopiero na linii Łaby.

Władze polskie, o ile mi wiadomo, od dawna domagały się, by dowództwo brytyjskie wysłało do Polski swoich obserwatorów. Skład misji był skompletowany już w lipcu 1944 r., tuż przed wybuchem Powstania w Warszawie, a jednak trzeba nam było czekać jeszcze pół roku na odlot do Polski. O ile mi wiadomo, główną przeszkodą była odmowa Rosji na wyrażenie zgody na wysłanie misji brytyjskiej na teatr wojny, który Rosja uważała za swoją wyłączną domenę. Ta zgoda nigdy nie nadeszła i ostatecznie skończyło się tylko na poinformowaniu dowództwa sowieckiego o wysłaniu misji do Polski. Misja odleciała więc bez formalnej zgody wschodniego sprzymierzeńca.

Skład misji był następujący:

płk D.T. Hudson, D.S.O. – dowódca misji, płk Peter Solly–Flood, I.C. – zastępca, mjr Peter Kemp, I.C., kpt. A.N. Currie, tłumacz i oficer łączności, C.S.M. oraz Donald Galbraith, radiooperator.

Przybrałem nazwisko A.N. Currie i legendę angielskiego oficera, gdyż wiedziałem, że prędzej czy później dojdzie do spotkania z Rosjanami. Ta legenda trzymała dobrze do samego końca, prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie miałem potrzeby jej bronić w toku indagacji.



fot. 1. Brytyjska Misja Freston przed odlotem do Polski (baza w Brindisi). Plk. D.Hudson, mjr. Pater Solly Flood, mj. Peter Kemp, kpt. Tonny Cuvvio, st. sierż. Galbraith. Uczestnicy misji zostali zrzućeni 26 grudnia 1944 r. koło Częstochowy; odbioru zrzutu dokonała 27 pp AK. W misji tej Antoni Pospieszalski był oficerem łącznikowym z ramienia Sztabu Naczelnego Wodza RP.



fot. 2. Antoni Pospieszalski (występował jako Tony Currie)



fot. 3. Dowódca misji, plk D.T. (Bill) Hudson



fot. 4. Członek misji Peter Solly-Flood

Nasze zadanie, jasno określone, miało polegać na obserwowaniu i informowaniu bazy o wszystkim, co dotyczyło walki i oporu przeciw niemieckiemu okupantowi. Ponadto w miarę możliwości mieliśmy ułatwić pierwsze kontakty poszczególnych członków AK z Rosjanami w miarę posuwania się Armii Czerwonej.

Pierwsze zadanie zostało wykonane w minimalnej mierze, drugie okazało się zbyt ambitne i nie zostało wykonane wcale. Ogólny rezultat misji równał się więc zeru. Dobrze, jeśli misja nie przyniosła szkody, o ile śmierci jednego chłopaka, który zginął w naszej obronie można nie uważać za szkodę. Nie była to wina zespołu misji, po prostu znaleźliśmy się w Polsce grubo za późno, gdy już było prawie po wszystkim.

Moi angielscy koledzy mieli pierwszorzędne kwalifikacje do tego rodzaju roboty. Płk Hudson spędził dłuższy czas w Jugosławii zarówno u boku Michajłowicza, jak i u boku Tity, których obu zresztą darzył jednakowo szczerą sympatią. Znał się doskonale na partyzantce, w pełni oceniał niezwykle trudne warunki terenowe dla partyzantki, jakie istniały w Polsce – w przeciwieństwie do górzystej Jugosławii. Jego niewzruszonej postawie i pewności siebie wobec Rosjan zawdzięczamy w dużej mierze, że z rąk naszych wschodnich sprzymierzeńców wydostaliśmy się cali i nie padliśmy ofiarami jakiegoś „małego Katynia”.

Solly–Flood, z pochodzenia Irlandczyk, człowiek dużej kultury mówił doskonale po niemiecku i francusku, co było dla mnie nie lada ulgą w moich żmudnych obowiązkach tłumacza. Peter Kemp na pierwszy rzut oka robił wrażenie przycywilizowanego mieszczaucha, był natomiast człowiekiem, który jak mucha na lep leci na wszelką awanturę. W owym czasie miał już za sobą wielką przygodę w Albanii, a po powrocie z Polski natychmiast znalazł sobie nową serię przygód w Indonezji. Młodziutki sierżant Galbraith, nie wiadomo dlaczego nazywany Georgie, był świetnym radiooperatorem.

Byliśmy wyposażeni w dwa aparaty typu A5 /produkcja ośrodka w Stanmore/ i dużą maszynę 20-watową na wypadek szczególnie utrudnionej łączności. Niestety, nie mieliśmy okazji z niej skorzystać, bo nasza 20-watówka bardzo prędko wpadła w ręce Niemców.

13 października 1944 r. wylecieliśmy z Londynu via Neapol do Bari. Tam umieszczono nas w odludnej willi „La Silva” pod Fasano, gdzie przesiedzieliśmy blisko 3 miesiące. Trzy razy zapowiadano nam „operation” i trzy razy „operation” kończyła się znowu lądowaniem w Brindisi. Za trzecim razem dolecieliśmy aż do Opatowa, ale z powodu złej pogody ponownie musieliśmy zawrócić i po 12 godzinach lotu wróciliśmy do bazy. To było w I Święto Bożego Narodzenia. Ale ledwie zdążyliśmy jako tako odespać tej nocy, gdy na następny dzień doszło do czwartej operacji, tym razem skutecznej.

Wylecieliśmy z Brindisi o 16.00 i około 22.00 wylądowaliśmy na placówce pod Częstochową w odległości 10 km od miejscowości Żarki, leżącej zresztą już na terenie Reichu. Przy skoku każdy miał swoją przygodę. Moi towarzysze wszyscy trochę się potłukli. Ja wylądowałem gładko, ale na zupełnym odludziu. Jak się potem okazało, wyskoczyłem o parę sekund za wcześnie i oczywiście na moje wołanie: „Michał!” - odpowiedziało głuche milczenie i szum pobliskiego lasu.

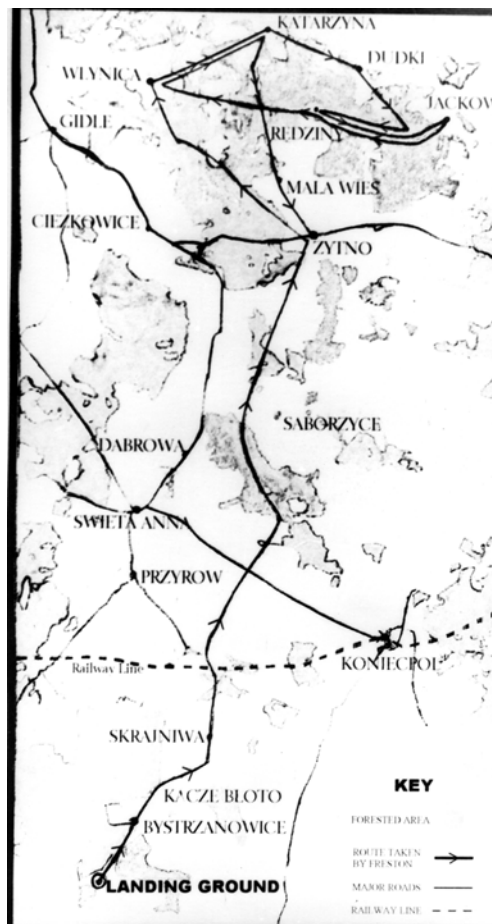
Noc była piękna, księżycowa, zmarznięta ziemia z lekka przykryta warstwą śniegu. Poszedłem po grudzie, zarzuciwszy sobie spadochron na plecy, aż napotkałem grupę chłopaków ze wsi, których zwabił warkot samolotu. Przy ich



fot. 5. Członek misji Peter Kemp



fot. 6. Członek misji Donald Galbraith



fot. 7. Angielska mapka sytuacyjna rejonu Częstochowy oraz bazy misji FRESTEN w tej okolicy

zorientowałem się w terenie, który znałem dobrze z mapy i po pół godzinie bez trudności znalazłem się na placówce. Tu zacząłem przeklinać sandwicze, którymi opchnąłem się na zapas w samolocie, bo w pobliskim folwarku czekało nas nie lada przyjęcie, prawdziwe polskie befsztyki i dobra wódka. Przekonaliśmy się wówczas, że „noc pod okupacją była polska”. Nasi gospodarze zupełnie nie przejmowali się tym, że o 5 km w Złotym Potoku stało 50 żandarmów, a w Żarkach jakieś 80 SS. Dowódcą placówki i naszej ochrony w liczbie około 40 żołnierzy był ppor. Twardy. Istotnie twardy żołnierz i zawzięty socjalista. Około północy przeszliśmy na nocleg do wsi Kacze Błoto położonej o jakieś 5 km dalej.

Następnego dnia Twardy przedstawił nam 2 oficerów, rosyjskich partyzantów, z którymi najwidoczniej był w doskonałej komitywie. Przekonaliśmy się również, że w oddziale Twardego służy 4 Anglików, jeńców, którzy uciekli ze Stalagu 334, Lamsdorf. Po południu przeszliśmy do pobliskiej leśniczówki, gdzie mieliśmy złożyć cięższy sprzęt na przechowanie. Poznałem tam wówczas por. Romana /Rolnicki?/, z którym przy chowaniu sprzętu w leśnej ziemiance przeprowadziłem dłuższą rozmowę. Roman wtajemniczał mnie /jako rzekomego Anglika/ w prawdziwe zamiary Rosji. Tam również nawiązałem po raz pierwszy łączność radiową z bazą /Londynem/.

Te pierwsze kontakty z AK /ppor. Twardy, por. Roman, ppor. Boruta, kpt. Timawa – dowódca baonu/ zapoznały misję z ogólną organizacją terenową i bojową AK i rolą miejscowych oddziałów w okresie mobilizacji i Powstania Warszawskiego. Byliśmy w rejonie 7 Dywizji i w sąsiedztwie rejonu 2 Dywizji, które teraz w okresie demobilizacji miały znacznie zmniejszone stany, tak, że baon liczył około 80 żołnierzy. Mimo, że był to okres względnej bezczynności, wiele rzeczy niewątpliwie robiło bardzo pozytywne wrażenie na angielskich członkach misji. Sprawność, z jaką odbywała się wymiana żołnierzy w czynnej służbie z czasowo urlopowanymi, dyscyplina oddziału, stosunek do ludności cywilnej, która za wszelkie usługi otrzymywała należną zapłatę i na odwrót - stosunek ludności cywilnej do żołnierzy, którzy byli przedmiotem prawdziwej dumy jako „Wojsko Polskie”. W późniejszych wędrówkach mieliśmy kilkakrotnie zetknąć się z miejscowymi przywódcami AL, którzy nie raz wylewali przed płk Hudsonem swoje żale wobec AK. Płk Hudson jednak nie starał się o bliższe kontakty z Armią Ludową. Interesowało go również NSZ i zbierał skrzętnie informacje o Brygadzie Świętokrzyskiej, o Bohunie, Żbiku i „żbikowcach”.

W nocy z 29 na 30 grudnia odbyliśmy 30 – kilometrowy marsz na północ i o świcie stanęliśmy niedaleko Radomska. Tu przeszliśmy pod opiekę innego oddziału, również w sile około 40 ludzi, pod dowództwem ppor. Warty. Spotkanie z mjr Stefanem, d-cą 25 pp. i panią Rubachową, właścicielką majątku, było źródłem wielu wiadomości o charakterze wojskowym i gospodarczym. Opór ludności przeciw dostawom przymusowym i sabotaż gospodarczy były przedmiotem stałego zainteresowania płk Hudsona.

Sylwester 1944 roku zastał nas na folwarku Katarzyna o 4 km od Włynicy. Braliśmy udział w hucznym obchodzie Święta wraz z żołnierzami. Nie obyło się bez walenia ze stenów na wiwat. Poszliśmy spać po północy. Nasze poczucie bezpieczeństwa było już wówczas na tyle ugruntowane, że po raz pierwszy od lądowania pozwoliliśmy sobie na zdjęcie mundurów i położenie się do łóżka.

Przebudzenie było bardzo niemiłe, gdyż około 8 rano wpadł do nas ordynans z wiadomością, że do folwarku podchodzą czołgi niemieckie. Nigdy jeszcze nie ubrałem się tak szybko. Gdy wypadłem na dwór obładowany sprzętem, jak każdy

z nas, wrzała już strzelanina. „Warta” przydzielił nam dwóch chłopaków, którzy mieli nas wyprowadzić opłotkami z opresji. Uciekaliśmy szybko i w 10 minut wpadliśmy do zbawczego lasu. Oddział „Warty” tymczasem wycofywał się powoli w tym samym kierunku. Wtedy to zginął przy RKM – ie Janusz. Niemcy spalili oborę i stodołę i zabrali ze sobą p. Dembowską, właścicielkę folwarku. Pani Dembowska zresztą, jak się później dowiedzieliśmy, nie ukrywała przed Niemcami, że gościła u siebie 5 Anglików, którzy „wałęsają się po kraju” z oddziałem AK. Straciliśmy wtedy naszą radiostację 20 – watówkę i całą zapasową odzież. Po południu jednak byliśmy na powrót w folwarku. Ślady krwi na jednym ze stołów były dowodem, że przynajmniej jeden Niemiec również porządnie dostał.

Tak zaczął się Nowy Rok. Na nocleg stanęliśmy we wsi Dudki, gdzie wczesnym ranem, jeszcze o zmroku, odbył się pogrzeb Janusza.

2 stycznia przeszliśmy parę kilometrów dalej do miejscowości Jacków. Tu znowu miał miejsce alarm, który zmusił nas do spędzenia paru godzin w lesie.

Ponieważ właśnie wypadał czas na nawiązanie łączności z bazą, musiałem zainstalować aparat pod gołym niebem. Trzeba było zawiadomić bazę o naszej niesławnej przygodzie.

3 stycznia w Małym Jackowie otrzymaliśmy wiadomość, że gen. Niedźwiadek przebywa w leśniczówce Zacisze, o parę kilometrów od Jackowa i że mamy się tam z nim spotkać. Ta rozmowa z gen. Okulickim była niewątpliwie kulminacyjnym punktem naszego krótkiego i bezowocnego pobytu w okupowanej Polsce. Rozmowa zresztą wkrótce przerodziła się w obszerną wypowiedź generała, który najpierw przedstawił ogólne niemieckie O. de B. w Polsce, stan i rozmieszczenie sił Armii Krajowej i stosunki z AL oraz NSZ, a potem przeszedł do najbardziej aktualnego problemu stosunku polskiego podziemia do Rosji. Wskazał na przykłady, jak często tragicznie dla żołnierzy AK kończyła się współpraca z Armią Czerwoną. Dlatego w nadchodzącej ofensywie sowieckiej zmobilizowane oddziały AK miały nadal wspierać siły rosyjskie, ale nie było mowy o otwartej współpracy i dekonspirowaniu się wobec Rosjan. Z chwilą objęcia terenu przez wojska rosyjskie oddziały Armii Krajowej miały być po prostu rozwiązane.

Generał określił, że postawa polskiego podziemia wobec Rosji nie ma charakteru doktrynalnej opozycji w stosunku do komunizmu. Gdyby naród polski swobodnie zdecydował się na wybór ustroju komunistycznego, nie mielibyśmy nic przeciw temu. Ale nie o to chodziło. Chodziło po prostu o ratowanie niepodległości Polski wobec zaborczej polityki naszego wschodniego sąsiada.

Zdaje mi się, że wówczas angielscy członkowie misji po raz pierwszy zdali sobie sprawę z całej grozy położenia Polski w obliczu potęgi sowieckiej. Z długich rozmów i dysput prowadzonych jeszcze w czasie oczekiwania we Włoszech wiem, że dzielili oni, z ogółem opinii brytyjskiej, modne wówczas złudzenia co do prawdziwych zamiarów Sowietów. Ewolucja ich poglądów dokonywała się powoli, ale też w ciągu trzech tygodni dokonała się kompletnie.

Kilka następnych dni spędziliśmy w miejscowości Rędziny, czekając na zapowiedziane przez gen. Okulickiego spotkanie z d-cą 7 Dywizji. Dni schodziły na rozmowach z prostymi ludźmi i okolicznym ziemiaństwem, którzy nas chętnie odwiedzali, ale głównym źródłem informacji był por. Alm /Józef Kowalski/, który został przydzielony do nas przez generała w charakterze oficera łącznikowego i ppor. Jerzy /Szymon Zaremba/, brat p. Rubachowej z Włynicy, którego poznaliśmy już parę dni przedtem.

Wysłaliśmy parę depesz do bazy, ale łączność była utrudniona, gdyż co chwila psuła się nam prądnicą.

7 stycznia wróciliśmy do Jackowa. 9 stycznia zostaliśmy zaproszeni na wieczór do sąsiedniego Liegenchaftu (spółdzielni) w Odrowążu, którym zarządzał Polak.

W czasie tego wieczoru płk Hudson wznosił toast na cześć czterech przywódców państw sprzymierzonych: Churchilla, Roosevelta, Mikołajczyka i Stalina. Gwałtowna reakcja zebranych na to ostatnie nazwisko zaskoczyła moich angielskich kolegów i dała asumpt do żywej dyskusji /już po zabawie/ między mną a Solly'm. Solly widział w tej reakcji objaw nierozsądnego nacjonalizmu i wyraził obawę, że właśnie ta postawa Polaków tłumaczy w pewnym stopniu wszystkie represje rosyjskie. Nasze poglądy na Rosję wciąż jeszcze różniły się bardzo znacznie.

11 stycznia, monotonnym już porządkiem rzeczy, przeszliśmy znowu na starą kwaterę do Rędzina. Przygotowaliśmy sobie tymczasem ubrania cywilne i fotografie do *kenkarty*. W najbliższych dniach mieliśmy się wybrać w szeroki świat, najpierw do Radomska, potem do Częstochowy. Alm miał nawet w przygotowaniu jakąś akcję zbrojną, w której mieliśmy brać udział. Ale następny dzień zakończył nagle nudę naszego oczekiwania i przekreślił wszystkie plany.

W nocy z 12 na 13 stycznia zbudził nas jednostajny pomruk dalekiego ognia zaporowego artylerii. Z nastaniem dnia nad naszymi głowami pojawiły się myśliwce sowieckie i mieliśmy okazję przypatrzeć się niejednej walce. Zaczęła się nowa ofensywa sowiecka.

Płk Hudson próbował przez Alma nawiązać łączność z gen. Okulickim, ale bezskutecznie. Wiedzieliśmy już, że nasza misja w Polsce dobiega końca. 15 stycznia mieliśmy wiadomości, że Rosjanie przekroczyli Pilicę; niektórzy już widzieli czołgi rosyjskie w Małuszynie, odległym zaledwie o kilkanaście kilometrów. Wieczorem tego dnia przeszliśmy szybkim marszem do Włynicy, gdzie spodziewaliśmy się zastać mjr Stefana i ewentualnie jakąś wiadomość od generała Niedźwiadka. Wiadomości nie było.

Ostatni wieczór, spędzony w ziemiańskim domu, stał się nie tylko symbolem końca jednej epoki. „Warta” otrzymał rozkaz rozwiązania swego oddziału. Ochrona nie była nam już potrzebna. Naszym zadaniem było teraz nawiązanie kontaktu z dowództwem armii sowieckiej.

Dzień 16 stycznia spędziliśmy w odludnej, niezamieszkałej chacie koło folwarku Katarzyna. Nadałem do Londynu ostatnią depezę donosząc, że znajdujemy się w rejonie Koniecpola i w najbliższym czasie oddamy się w ręce rosyjskie. Było mi bardzo niewesoło na duszy, prądnica nawalała, jak zwykle, ale ucieszyłem się, gdy po żmudnym nadaniu depeży otrzymałem pokwitowanie. Na tej depeży zależało mi więcej, niż na wszystkich innych.

Powzieliśmy, jak się okazało, niemądry zamiar, by przed oddaniem się w ręce rosyjskie odzyskać część naszego sprzętu, a nade wszystko drugi aparat A5, który w międzyczasie został przeniesiony z kryjówki pod leśniczówką Kacze Błoto do majątku Żytne. Właściciel Żytna, p. Siemieński, znany nam już z rozmów w Rędzinach, miał znać miejsce, w którym aparat jest przechowywany. W tym celu Solly – Flood i ja wybraliśmy się chłopską furmanką w stronę Żytna. Przy okazji mieliśmy się zorientować w sytuacji.

Po drodze ujrzeliśmy w zagajniku grupę żołnierzy niemieckich, obdartych i wymęczonych. Patrzyli na nas obojętnie. Chłopskie kurtki, narzucone na *battle – dressy*, niewiele im mówiły kim naprawdę jesteśmy. Ale, gdyby ujrzeli nas w pełnym umundurowaniu i z orderami, nie okazaliby zapewne większego zainteresowania.

Gdy wynurzyliśmy się z lasu na otwarte pole, o parę kilometrów od Żytna, sytuacja natychmiast stała się jasna. Drogą wiodącą przez Żytno ciągnęła się na zachód nieprzerwana kolumna samochodów, dział i furmanek. Nawet boczne polne drogi dochodzące do Żytna były zatłoczone wojskiem. Nie zdjęliśmy chłopskich kubraków, ale dla pewności wyjęliśmy materiał identyfikacyjny przygotowany na tę okazję jeszcze w bazie: płócienne szmatki z napisem „*Anglijskij Officir*” i „*Union Jackie*” po drugiej stronie.

Kałmuckie oczy obserwowały nas z zainteresowaniem, ale zdołaliśmy przejechać bez przeszkód do samego dworu. Tu panowała „Sodoma” i „Gomora”. Biedny pan Siemieński pełnił honory domu, starając się uratować cokolwiek z dobytku gospodarskiego, którym zdobywcy raczyli się sownie i bez pytania. Okazało się, że Siemieński nie bardzo wie, gdzie się znajduje nasz zapasowy aparat, ale nawet gdyby wiedział – nie na wiele by to się zdało.

Trzeba było teraz dogadać się z Rosjanami. Znaleźliśmy paru starszych oficerów i pułkowników, którym z pomocą p. Siemieńskiego wyjaśniliśmy, kim jesteśmy i czego chcemy. Te pierwsze rozmowy były dosyć przyjazne i w rezultacie znalazła się „maszyna”, która podwoziła nas parę kilometrów do kwatery, o ile zdołaliśmy się zorientować, dowódcy dywizji czy korpusu. W małej izbie chłopskiej zamienionej na prędcę w siedzibę sztabu, ze światłem elektrycznym i dużą mapą frontu na ścianie, znaleźliśmy się w obecności dwóch wyższych oficerów. Generał, niewielki, ciemny człowieczek o twardych rysach, trzymał się w czasie rozmowy na uboczu; jego towarzysz, gruby i przyjaźnie uśmiechnięty pułkownik NKWD prowadził indagację.

Pomagając sobie tu i ówdzie zasłyszonym wyrazem rosyjskim wyjaśniłem po polsku, kim jesteśmy, powiedziałem, że dowódca misji wraz z resztą naszej grupy znajduje się na folwarku Katarzyna, że misja po wypełnieniu zadania ma się jak najprędzej zameldować w Brytyjskiej Misji Wojskowej w Moskwie. Wszelkich bliższych wyjaśnień może udzielić płk Hudson. Ale pułkownik najwyraźniej nam nie wierzył. Nasze dowody osobiste nie przekonały go, tym bardziej, że najwidoczniej nie znał liter łacińskich. Utrzymywał z uporem, że mój dowód opiewa na inne nazwisko, a nie to, które podałem i które widniało w dowodzie, a mianowicie Currie. Kilkakrotnie padło słowo „szpion”.

W toku indagacji pułkownik chciał się dowiedzieć, kim był dowódca naszej ochrony AK, gdzie jest jego oddział, co robi itd. Nie można było odmówić wprost odpowiedzi na te pytania, gdyż to tylko utwierdziłoby naszego indagatora w przekonaniu, że ma do czynienia ze szpiegami. Odpowiadaliśmy wymijająco, że nie możemy udzielać żadnych bliższych informacji pod nieobecność płk Hudsona. Po tej rozmowie odwieziono nas z powrotem do dworu, gdzie dla utrzymania dobrych stosunków międzyalianckich musieliśmy wziąć udział w dzikiej popijawie. Piliśmy jak najostrożniej, by zachować trzeźwy umysł w nieprzyjemnej sytuacji, a już stanowczo odmówiliśmy spełnienia któregoś tam z rzędu toastu, gdy zamiast wódki znalazła się w szklankach benzyna (!).

Następnego dnia pojechałem samochodem pod eskortą do miejscowości Katarzyna, gdzie Hudson, Kemp i Galbraith poprzedniego wieczora, podobnie, jak my, cementowali przyjaźń brytyjsko – sowiecką alkoholem z inną grupą oficerów rosyjskich i to w tym samym domu, z którego 2 tygodnie temu Niemcy nas tak nieuprzejmie przepędzili. Teraz wróciliśmy wszyscy razem do Żytna, gdzie Hudson został natychmiast wezwany do generała.

Ja znowu byłem tłumaczem. Rozmowa miała przebieg bardzo podobny do rozmowy z poprzedniego wieczora. Hudson również nie chciał odpowiadać na

żadne pytania dotyczące Armii Krajowej twierdząc, że najpierw musi złożyć pełne sprawozdanie swym własnym przełożonym w Misji Wojskowej w Moskwie. Prosił zatem o jak najszybsze przewiezienie tam całej misji.

W rezultacie tej drugiej rozmowy kazano nam złożyć broń i oddać dokumenty osobiste (za pokwitowaniem) i umieszczono nas w areszcie domowym w żytnieńskim dworze pod czujną opieką jakiegoś majora, który sypiał z nami w tym samym pokoju i przez cały dzień nie spuszczał z nas oka.

Sytuację naszą pogarszał fakt, że istotnie mieliśmy wobec Rosjan niezupełnie czyste sumienie. W Katarzynie zdecydowaliśmy zabrać ze sobą do Moskwy jednego z naszych oficerów łącznikowych z AK – ppor. Jerzego, na którym ciążył wyrok śmierci wydany przez AL. Tak się złożyło, że w składzie misji było właściwie jedno miejsce wakujące. Tuż przed odlotem z bazy w Brindisi został odwołany ze składu misji kpt. Alan Morgan, którego nazwisko – jak przypuszczaliśmy – musiało jednak figurować na liście członków misji przedstawionej w swoim czasie władzom sowieckim. Jerzy przypiął zatem sobie dystynkcje oficera brytyjskiego i razem z nami znalazł się w żytnieńskim areszcie. Na razie udało się jakoś wytłumaczyć fakt, że nasz nowy Alan Morgan nie miał dowodu osobistego. Gorzej, że Alan Morgan nie umiał prawie ani słowa po angielsku.

Pierwsze zetknięcie z Moskalami miało miejsce 17 stycznia. Rozmowa Hudsona z generałem sowieckim odbyła się 18 stycznia. Pięć dni przesiedzieliśmy w areszcie domowym w Żytnie. Graliśmy w karty, a Solly przez okno obserwował nieprzerwany ruch kolumn sowieckich po żytnieńskiej drodze. Doszedł do wniosku, że 90 % parku samochodowego w tej ofensywie stanowił materiał *Lend – Lease*, głównie amerykańskie *Dodge'e*; pozostałe 10% to były rachityczne sowieckie wersje Forda i furmanki konne.

23 stycznia zapakowano nas wszystkich do otwartej ciężarówki i przewieziono do Radomska, gdzie po jeszcze jednej „alianckiej” kolacji z wódką w obecności znowu jakiegoś sowieckiego pułkownika przespaliśmy się porządnie w zarekwirowanym mieszkaniu. 24 stycznia przejechaliśmy znowu jakieś 90 km na południowy zachód do Jędrzejowa. Następnego dnia z powrotem na zachód, do Częstochowy.

W tej podróży dodano nam do towarzystwa jakiegoś starszego pana w niemieckim mundurze i kozackiej czapie, który z niewzruszonym spokojem znosił bezceremonialne traktowanie ze strony eskorty. Wołali na niego „Własow”, nie mieliśmy jednak okazji dowiedzieć się, kim był naprawdę.

W Częstochowie wstąpił w nas nowy duch. Może stąd odleciemy do Moskwy? Zamiast tego jednak znaleźliśmy się na noc w byłym gestapowskim więzieniu przy ulicy Śląskiej.

Dotychczas byliśmy w pewnego rodzaju areszcie domowym i podróżowaliśmy pod eskortą. Teraz znaleźliśmy się w zabitej deskami prymitywnej celi, z zapluskwionymi pryczami, silną lampą elektryczną palącą się dzień i noc, i przysłowiowym „judaszem”, w którym raz po raz ukazywało się oko dozorca. Rano wyprowadzono nas na dziedziniec, gdzie umyliśmy się z rozkoszą pod pompą, nie zważając na wymierzone w nas pepesze.

Być może ja, jako Polak, byłem podświadomie przygotowany na tego rodzaju obrót sprawy, ale moi angielscy koledzy – sojusznicy przecież „całą gębą” – nie posiadali się ze złości i zdumienia. Płk Hudson dawał temu wyraz w sposób zupełnie niedwuznaczny i przy każdej okazji domagał się widzenia z oficerem, przynajmniej równym mu stopniem, którego mógłby zwymyślać i zwrócić uwagę na niewybaczalną pomyłkę. Te protesty – o dziwo – odniosły skutek, bo na następną noc przeniesiono

nas na pierwsze piętro do lepszej celi, która miała tylko zakratowane okna i przyznano nam tzw. porcje oficerskie. W dodatku przydzielono nam dwóch jeńców niemieckich (w tym jednego porucznika) do sprzątanania celi. Ci ludzie byli straszliwie wyczerpani i wygłodzeni, toteż raz po raz ukradkiem częstowaliśmy ich kawałkiem czarnego chleba.

W tej celi przesiedzieliśmy tydzień. Płk Hudson nie przestawał protestować, wymyślać i domagać się widzenia z wyższym oficerem. Wraz z Sollym napisał długą epistołę do sowieckiego dowódcy frontu marszałka Koniewa, w którym wyliczył wszystkie krzywdy, które spotkały nas ze strony nieznanych nam ludzi, gdyż ludzie ci nie raczyli nam się nawet przedstawić. W tym kontekście generał, z którym rozmawialiśmy w Żytnie, wyszedł na „indywiduum podające się za generała” (*a individual purporting to be a general*). Oczywiście, ten list nigdy nie doszedł do marszałka Koniewa. A jednak zrobił widocznie właściwe wrażenie, gdzie należy.

Przypuszczam, że Rosjanie na froncie istotnie nie wiedzieli nic o naszej misji (choć powinni) i istotnie nie bardzo wiedzieli, co z nami zrobić. Jeśli mieli ochotę zlikwidować problem najprostszym dla nich sposobem, to ustawiczne protesty Hudsona i jego pewność siebie musiały jednak zasiać im w umysłach pewne wątpliwości.

W rezultacie 1 lutego znalazł się oficer sowiecki równy stopniem naszemu dowódcy, czyli pułkownik, który bardzo grzecznie przyjął Hudsona ze mną jako tłumaczem. Początkowo między mną a sowieckim oficerem pośredniczył zastraszony tłumacz, wkrótce jednak okazało się, że pułkownik doskonale rozumie moją polszczyznę. Zapytał nawet: „Wy Palják?”, na co oczywiście odpowiedziałem: „Niet, Angliczanin”. Pułkownik powiedział nam, że istotnie zaszła pomyłka, ale dotychczas nie ma żadnych instrukcji z Moskwy. Zapewniał, że gdy te instrukcje nadejdą, niewątpliwie pojedziemy do Moskwy.

W rezultacie tej rozmowy zostaliśmy następnego dnia przeniesieni do porządnego, kilkupokojowego mieszkania przy ulicy Waszyngtona. Otrzymaliśmy nawet bardzo „przywoity” odbiornik radiowy, dzięki któremu mogliśmy się wreszcie zorientować w sytuacji wojskowej i politycznej. Nadal jednak byliśmy pod ścisłą strażą. Funkcję opiekunów pełniło dwóch podporuczników sowieckich. Zaprosiliśmy ich do wspólnego stołu, oni jednak woleli jadać osobno, w kuchni, a nam usługiwał bardzo sprawny ordynans. Wolno nam było przechadzać się po dziedzińcu. Korzystaliśmy z tych okazji, by nawiązywać rozmowy z innymi mieszkańcami domu - Polakami. Raz nawet znaleźli się na dziedzińcu dwaj byli jeńcy brytyjscy. Ale rozmowy z nimi były zabronione. Nasi opiekunowie uparcie interweniowali i raz z tego powodu doszło do ostrej awantury między Hudsonem a jednym z oficerów sowieckich.

Po tygodniu przyszła wiadomość, że wkrótce odlecimy do Moskwy. Zapowiedziano, że wraz z nami poleci pewien oficer z AK. Ów „Akowiec” istotnie zameldował się do nas z wielkim tupetem. Wyglądał wspaniale. Prawdziwy partyzant, w *battledresie*, białe – czerwoną przepaską na ramieniu i ogromną futrzaną czapą z orzełkiem. Zwróciłem pułkownikowi Hudsonowi uwagę, że „Akowiec”, jakkolwiek ubrany prawdziwie po „akowsku”, to jednak mówi po polsku z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. „Akowiec” utrzymywał, że jest skoczkiem z Anglii. Nietrudno było sprawdzić, że buja. Przyparty „do muru” przyznał się, że jest Austriakiem i że łzami w oczach błagał, by go zabrać do Moskwy, gdzie tworzy się wolny austriacki rząd. Cała historia wyglądała na szytą grubymi nićmi prowokację, która miała nas skompromitować w oczach sowieckich sprzymierzeńców. Dlatego, mimo łez „Akowca”, powiedzieliśmy o naszym odkryciu sowieckim opiekunom. Tylko,

że opiekunów odkrycie nasze wcale nie wzruszyło!: „A taki poleci z nami do Moskwy”. Ostatecznie – nie mieliśmy nic przeciw temu, byle nie leciał tam jako jeden z nas.

11 lutego na błotnistym lotnisku pod Częstochową oczekiwał nas sowiecki *Douglas /D.O.3/*. Pierwszego dnia podróży przeskoczyliśmy do Mielca, gdzie spędziliśmy noc w jakimś wiejskim GS-ie. Tu opieka nad nami była mniej ścisła i mogliśmy sobie pogadać z miejscowymi chłopami.

Był to teren, na którym reżim lubelski był już dobrze „zagospodarowany”, a nasi rozmówcy nie ukrywali przed nami swej nienawiści do niego. Tu dowiedzieliśmy się, jak wygląda zaprowadzony przez reżim lubelski system dostaw przymusowych, jak przeprowadzana była reforma i jaka była na nią reakcja ludności.

Następnego dnia poleciliśmy naszym *Douglasem* do Lwowa, gdzie spędziliśmy noc; w samym mieście jednak nie byliśmy. 14 lutego, przy obrzydliwej pogodzie, utrzymując się na bardzo małej wysokości, dolecieliśmy do Kijowa. Tu pogoda popsła się do tego stopnia, że dalszą podróż musieliśmy odbyć pociągiem. Ale pociąg odchodził dopiero wieczorem; mieliśmy prawie cały dzień przed sobą.

Trzeba było zaopatrzyć się w żywność na podróż (nasza eskorta głodowała w czasie tej podróży tak samo, jak my), więc w towarzystwie naszego opiekuna udaliśmy się z Hudsonem do miasta.

Kijów przedstawiał obraz strasznego zniszczenia, bałaganu i nędzy. Na Kreszczatiku stały tylko nieliczne domy po jednej stronie; druga strona była całkowicie zniszczona.. Na próżno szukaliśmy banku, gdzie można by legalnie wymienić dolary. Ostatecznie dobiliśmy interesu w sklepie jubilerskim: za złotą monetę dolarową dostaliśmy 900 rubli. 500 rubli wydaliśmy natychmiast w sąsiedniej gastronomii na parę kilogramów kiełbasy i kilogram chleba. Resztę przeznacziliśmy na dopłatę „*sleepingową*” w tak zwanym wagonie oficerskim; dostaliśmy po dwa koce i po poduszce.

Podróż do Moskwy trwała noc, dzień i noc. 16 lutego rano przybyliśmy na „Kijowski Wagzał”. Tam zapakowano nas do samochodu i wreszcie dowieziono do gmachu, który – jak wskazywała tabliczka u wejścia – stanowił jakiś oddział NKWD. Znaleźliśmy się sami w pokoju wyglądającym na salę konferencyjną. Byliśmy pewni, że czeka nas nieprzyjemna indagacja. Ale po dwóch godzinach oczekiwania otworzyły się drzwi i w towarzystwie dwóch oficerów sowieckich weszło dwóch oficerów brytyjskich. Odczytano nasze nazwiska, oficerowie brytyjscy pokwitowali sowieckie dokumenty i po chwili znaleźliśmy się w samochodzie, który zawiózł nas do Misji Brytyjskiej przy ul. Kominternu. Wraz z nami był rzekomy Alan Morgan /ppor. Jerzy/, a nawet rzekomy „Akowiec”, którego nazwisko również figurowało na liście. „Akowca” w Misji jednak nie przyjęto, wyjechał w pół godziny później i nie wiem, co się z nim dalej działo.

Rozpoczął się miesiąc oczekiwań na wizy wyjazdowe z ZSRR. Ciernistą okazała się sprawa Jerzego. Rzecz doszła do ambasadora,

którym był Sir Archiwald Clark- Kerr. Ambasador, rzecz jasna, nie mógł narażać swojego prestiżu wobec władz sowieckich poprzez ukrywanie autentyczności Jerzego. Gdzieś „na szczycie” rozgrywała się dyplomatyczna partia szachów o wizy dla Jerzego i Misji. Pamiętnym momentem był obiad, na którym byliśmy wszyscy obecni – wraz z ambasadorem i pewnym enkawudzistą jako przedstawicielem Narkomin Działu (NKWD DTK). Hudson był przeciwny tej imprezie, zgodził się tylko pod presją ambasadora, ale wdał się przy obiedzie w zawziętą dyskusję z enkawudzistą o polityce sowieckiej wobec Polski. „Rębał prosto z mostu”, co myślał. Miałem wówczas okazję podziwiać subtelną powściągliwość i takt wielkiego angielskiego dyplomaty. Tylko dzięki ambasadorowi Kerrowi obiad ten nie skończył się skandalem.

W czasie pobytu w Moskwie korzystaliśmy z pełnej swobody. Pomagałem płk Hudsonowi w opracowywaniu ostatecznego raportu. Wreszcie pod koniec marca zdobyliśmy upragnione wizy. Ale, niestety nie wszyscy.

Jerzy spędził w Moskwie jeszcze szereg miesięcy, jednak pod bardzo troskliwą opieką angielskiego ambasadora Clark’a – Kerry’ego, ciesząc się jego szczerą, osobistą przyjaźnią. Ostatecznie, ambasador zabrał go do Wielkiej Brytanii własnym samolotem.

Podróż powrotną (samolotem) odbyliśmy przez Astrachań, Baku, Teheran i Kair do Londynu. Chwilę obaw, po raz ostatni, przeżyłem w hotelu „Intourista” w Baku, gdzie przyczepił się do mnie jakiś mężczyzna z recepcji, świetnie mówiący po angielsku, któremu nie podobał się mój akcent.

Do Londynu przybyliśmy na początku kwietnia.

Misja, jak się rzekło, okazała się fiaskiem. Raport płk Hudsona w najmniejszym stopniu nie mógł wpłynąć na sytuację w Polsce i zapewne leży gdzieś głęboko wśród aktów „Foreign Office”.

Audiencja u Lorda Selborne’a, ówczesnego ministra wojny gospodarczej, miała charakter całkowicie formalny – podobnie zresztą, jak przyjęcie u Mikołajczyka. Brałem udział w obu audiencjach. Zapowiadana audiencja u Churchilla, o ile mi wiadomo, nie odbyła się. Moi angielscy koledzy jednak wyzbyli się złudzeń. Solly–Floyd, już w częstochowskim więzieniu, z uśmiechem politowania wyrażał swoje poglądy na temat stosunków polsko – sowieckich.

W angielskim magazynie, w maju 1952 roku zdał swoją relację z przebiegu misji.

BRYTYJSKA MISJA OBSERWACYJNA „FRESTON”

Relacja oficera Plutonu Osłony AK „Warta”

**Ppłk w st. sp. inż. Józef Kotecki
ps. „Warta”**

Kawaler Orderu Wojennego Virtuti Militari

W nocy z 26/27 grudnia 1944 roku na terenie Kraju wylądowała brytyjska misja specjalna złożona z czterech oficerów brytyjskich, którym towarzyszył jako oficer łącznikowy cichociemny kpt. Antoni Pospieszalski, występujący jako Tony Curie. Zrzut przyjęła placówka odbioru „Ogórek” w powiecie częstochowskim. Bezpieczeństwo misji zapewniała osłona plutonu AK „Warta” pod dowództwem por. Józefa Koteckiego, co zresztą w niedługim czasie musiało się sprawdzić, ponieważ rankiem 1 stycznia 1945 r. misja została zaatakowana przez żandarmerię niemiecką. Po krótkiej walce żołnierzom AK udało się obronić członków misji i wykonać odskok do lasu. Dalsze losy misji, zresztą dramatyczne, stanowią odrębny rozdział historii II Wojny Światowej.

W każdym razie – rola misji „FRESTON” została określona przez ówczesnych świadków, jako „musztarda po obiedzie”.

Trwające w okresie wojny ponad 2-letnie starania polskich emigracyjnych władz politycznych i wojskowych oraz Delegatury Rządu na Kraj o lokalizację alianckiej misji wojskowej w Polsce zakończyły się ostatecznie przybyciem misji brytyjskiej, bezpośrednio przed zajęciem ziem polskich przez Armię Czerwoną.

Przyczyny opóźnionego przerzutu misji do Polski należy dopatrywać się przede wszystkim w braku akceptacji przez aliantów zachodnich generalnej koncepcji strategicznej, zawartej w idei powstania powszechnego w Kraju, kompatybilnej ze strategicznymi akcjami alianckimi, a ponadto z powodu, w miarę upływu czasu, wypierania motywacji wojskowej przez polityczną. Nie bez wpływu na decyzję aliantów miały nieunormowane stosunki polsko – sowieckie, kryzys wewnętrzny

w rządzie emigracyjnym oraz sytuacja w dowodzeniu Armią Krajową po Powstaniu Warszawskim.

Perspektywa zbliżającego się spotkania Roosevelta, Churchilla i Stalina zmusiła premiera Churchilla do uzyskania własnego rozeznania i jednoznacznego stanowiska w sprawach Polski. Podjął decyzję wysłania własnej, brytyjskiej misji do Polski. Przed bezpośrednim jej odlotem przeprowadził konsultację z desygnowanym na szefa misji płk D. T. Hudsonem, byłym emisariuszem Aliantów do sztabów Mihajlovica Tity w Jugosławii. Niezależnie od tego członkowie misji otrzymali wytyczne pracy jako obserwatorzy, które przekazane zostały również stronie polskiej. Ze sprawozdania i późniejszych relacji uczestników misji domniemać można, że ich zainteresowania miały raczej charakter wywiadowczy – polityczny, niż wojskowy na obszarze wpływów ZSRR.

Oficerowie brytyjscy, przyjmując oficjalną nazwę „BRITISH OBSERVER MISSION” pod kryptonimem „FREESTON”, przerzuceni zostali z bazy pod Brindisi we Włoszech do Polski na teren placówki zrzutowej Okręgu AK „Jodła” w Bystrzanowiczach k/Częstochowy, w dniu 26 grudnia 1944 r. Misją dowodził płk D.T Hudson (lat ok. 34), a w jej skład weszli mjr Peter Solly – Flood (lat ok. 32), kpt. Tony Curie vel Antoni Pospieszalski (lat ok. 30) i radiotelegrafista sierż. D. Galbraith (lat ok. 23).

Skaczących przejęła Grupa Odbiorcza Przerzutów Powietrznych 27 pp AK z por. F. Makuchem ps. „Roman” na czele oraz z m.in. por. S. Wenclem ps. „Twardy”, ppor. S. Bączyńskim ps. „Bas”, por. A. Szczepańskim ps. „Kier” i grupą partyzantów AK.

Misję, pod ochroną, skierowano do oddalonego o ok. 30 km Rejonu lasów w okolicach Radomska, gdzie pełną osłonę nad Misją przejął Partyzancki Oddział Bojowy 27 pp AK pod dowództwem ppor. Józefa Koteckiego ps. „Warta”.

Rankiem dnia 1 stycznia 1945 roku oddział ten został zaatakowany przez zmotoryzowaną jednostkę niemieckiej policji /2 kompanie/ wspartą bronią pancerną SS /5 czołgów/. Po ok. 2 godzinnej bitwie we wsi Katarzynów, oddział ppor. „Warty” wyprowadził Misję na bezpieczne tereny leśne przy stracie własnej 1 zabitego i utracie osobistego bagażu członków Misji wraz z ich zapasową radiostacją. Straty niemieckie, to 2 zabitych i 4 rannych.

W dniu 3 stycznia 1945 r. w rejonie lasów radomszczańskich na terenie leśniczówki Zacisze odbyło się spotkanie członków Misji „FREESTON” z Komendantem Głównym AK gen. bryg. Leopoldem Okulickim, ps. „Niedźwiadek”, w obecności m.in. płk R. Rutkowskiego, ps. „Rudy”, płk J. Zientarskiego ps. „Mieczysław” o oficerami towarzyszącymi. Generał przedstawił krytyczną sytuację żołnierzy AK na terenach już okupowanych przez Armię Czerwoną podając przykłady negatywnej współpracy wojskowej kończącej się tragicznie dla żołnierzy AK. Dlatego w zbliżającej się ofensywie Armii Czerwonej oddziały AK będą wspierać biernie wojska radzieckie, bez otwartej współpracy i dekonspiracji władz. Podkreślił, że postawa Polskiego Podziemia wobec Związku Radzieckiego nie ma charakteru doktrynalnej opozycji lecz jest po prostu ratowaniem niepodległości i suwerenności Polski Zapowiedział rozwiązanie oddziałów Armii Krajowej po zajęciu całej Polski

przez Armię Czerwoną. Omówił również aktualną sytuację wojskową, polityczną i gospodarczą na terenach Polski.

W przerwie obrad, towarzysząc generałowi w spacerze leśnym ostrzegł mnie przed ujawnieniem się przed władzami sowieckimi razem z członkami Misji. Generał zapowiedział przybycie do oddziału „Warty” szefa wywiadu KG AK ppłk B. Zielińskiego ps. „Tytus” i szefa Biura Informacji i Propagandy KG AK kpt. K. Moczarskiego ps. „Grawer” w celu przekazania szczegółowych informacji na tematy interesujące członków Misji. Prosił, abym miał ich pod szczególną osłoną.

W czasie pobytu na ziemiach polskich Misja miała okazję do bezpośredniego zapoznania się z działalnością konspiracyjną a różnych pozaakowskich ugrupowań wojskowych i politycznych / np. NSZ, AL., BCH / oraz do kontaktów z przedstawicielami lokalnego społeczeństwa.

Kontakt z Londynem Misja utrzymywała drogą radiową nadając ostatni meldunek przed ujawnieniem się.

Członkowie Misji wraz z „adoptowanym” ppor. Szymonem Zarembą ps. „Jerzy”, zgłosili się do dowództwa frontowego wojsk radzieckich w miejscowości Żytno k/ Radomska, gdzie po przesłuchaniu przez generała i towarzyszącego mu pułkownika NKWD w dniu 17 stycznia zostali rozbrowieni, aresztowani i jako podejrzani o szpiegostwo uwięzieni w Częstochowie. Byli traktowani podejrzliwie i arogancko.

W połowie lutego 1945 roku, na ustawiczne protesty płk Hudsona zostali przetransportowani do Moskwy i tam przekazani Brytyjskiej Misji Wojskowej. Drogą okrężną przez Bliski Wschód powrócili do Londynu.

Z otrzymywanych brytyjskich informacji wywiadowczo – polityczno wojskowych z Polski premier Churchill miał prawo wnioskować, że dalsze popieranie polonduńskiego podziemia w Polsce przestało być opłacalne dla Brytyjczyków. Lansowana teza o fiasku Misji „Freston” może być słuszna, ale tylko w odniesieniu do strony polskiej.

□

.....

Informacja w sprawie egzemplarzy archiwalnych

Redakcja *Zeszytów Historycznych* uprzejmie informuje, że w miarę posiadanych egzemplarzy może udostępnić *Zeszyty Historyczne* nr 1, październik 2005 r. oraz nr 2, marzec 2006 r.

Dyżury w redakcji w każdy wtorek w godz. 11-13.

REDAKCJA

W czasie wojny i po wojnie...

DZIAŁALNOŚĆ WYDZIAŁU LEGALIZACJI I TECHNIKI AK O KRYPTONIMIE „AGATON I” i „AGATON II”

Jednym z pierwszych warunków od początku istnienia SZP – ZWZ – AK była konieczność zapewnienia odpowiednich dokumentów czynnym działaczom walczącego podziemia, czyli tzw. legalizacja.

Oddziały i komórki legalizacyjne istniały w różnych pionach AK oraz innych organizacjach polskiego podziemia. Wydział Legalizacji KG AK – kryptonim „PARK” kierowany od 1940 r. przez mojra. Emila Kumora, a następnie Halinę Stabrowską, Józefa Majera, Leonarda Jastrzębskiego, Jerzego Sabor – Kamińskiego, Jana Kozłowskiego i Tadeusza Wernera – był największym Wydziałem tego rodzaju w AK. Wystawiał około 1000 fałszywych dokumentów miesięcznie.



fot. 1. Stanisław Jankowski, ps. „Agaton”,
kierownik Wydziału Legalizacji „Agaton”
Oddziału II KG

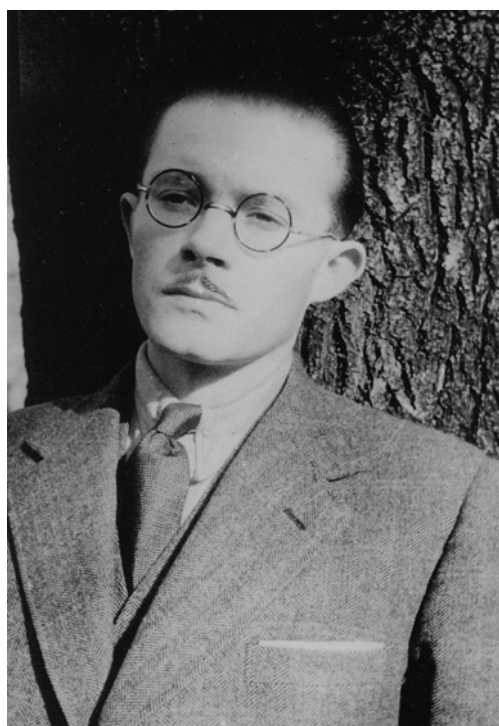


fot. 2. Płk. Tadeusz Jachimek, ps. „Jocker”,
Szef Sztabu „WINU”, zastępca płk. Rzepec-
kiego

Prawdziwa i coraz bardziej profesjonalna legalizacja rozpoczęła się od momentu, gdy Wydział Ofensywnego Wywiadu Wojskowego AK–owskiej KG O/II uruchomił w swej strukturze własną wyspecjalizowaną komórkę.

Fałszywe dowody tożsamości, nieuprawniające ich posiadacza do niczego poza pobieraniem kartek żywnościowych, zaliczały się do legalizacji biernej i nie zaspokajały potrzeb wywiadu. Jego agenci musieli być mobilni, mieć podejście do stref „szczególnie ważnych dla bezpieczeństwa Rzeszy”, musieli wreszcie przekraczać granice Generalnej Guberni. Coraz konieczniejsze stawało się specjalistyczne wydzielenie dla tych potrzeb oraz rozbudowa tej komórki.

Nastąpiło to jednak dopiero na początku roku 1942, po wylądowaniu 3/4 marca cichociemnego inż. arch. Stanisława Jankowskiego, przeszkolonego do tej pracy w Anglii na specjalnym kursie dla oficerów wywiadu.



fol. 3. Stefan Bałuk, ps. „Starba”, kierownik Wydziału Legalizacji „Agaton II”

Tak powstał Wydział Legalizacji i Techniki, który w szczytowym momencie swej działalności osiągnął stan osobowy 40 stałych, zaprzysiężonych pracowników na żołdzie oraz więcej niż drugie tyle kooperantów i wolontariuszy.

Wydział miał kilka kolejnych kryptonimów: „198”, „C8”, „Wd68”, ale do historycznej pamięci przeszła nazwa ostatnia – **AGATON**, która stała się jedną z cząsteczek polskiego etosu wojennego.

Wydział „Agatona” pracował dla potrzeb wywiadu, ale także dla innych komórek AK oraz ukrywających się ludzi (np. Żydów, Polaków – uciekinierów z Ziemi Wcielonych itp.). W okresie pełnej działalności tj. 1943 – 1944 aż do Powstania Warszawskiego pracownice „Agatona” wystawiały ok. 1000 fałszywych dokumentów miesięcznie.

Od dokumentów stosunkowo najprostszych, jak *Kennkarte* (dowód osobisty) czy *Nachtausweis* (przepustka nocna) – aż po skomplikowane zestawy wielojęzycznych dokumentów dla kurierów AK jeżdżących od zaplecza frontu wschodniego aż po Pireneje.

Ponadto, Wydział produkował skrytki, opakowania do ukrycia konspiracyjnych materiałów i broni w pracowni oraz w mieszkaniu, skrytki do przenoszenia poczty i co najważniejsze – do przewożenia zaszyfrowanych meldunków wywiadowczych na specjalnych filmach.

Armia Krajowa stanowiła olbrzymią, walczącą z okupantem część Sił Zbrojnych RP. Tym samym więc jej dowództwo musiało pozostawać

w nieustannym kontakcie z władzami na obczyźnie – ze Sztabem Naczelnego Wodza. Stąd też zaistniała konieczność rozbudowania w Komendzie Głównej ZWZ – AK Działu Łączności Zagranicznej, którym kierowała w znakomity sposób przez całą okupację Emilia Marcelina Malessa ps. „Marcysia”.

Jej Oddział V-K zajmował się wysyłaniem oraz przyjmowaniem emisariuszy i kurierów. Utrzymanie łączności z władzami na obczyźnie miało ogromne znaczenie dla obu stron, a utrzymanie jej rytmicznego funkcjonowania umożliwiało wymianę poczty zawierającej rozkazy, polecenia i meldunki wywiadowcze. Jest przeto rzeczą zrozumiałą, że Wydział Legalizacji „Agaton” stanowił dla Działu Łączności Zagranicznej nieomal niezbędne zaplecze stanowiące o jego należyтым funkcjonowaniu.

Poszczególne komórki Wydziału Legalizacji „Agaton” oznaczone były kryptonimami pochodzącymi przeważnie z nazw cukierni warszawskich. To pozwalało na używanie kryptonimów nawet w rozmowach telefonicznych. Dla sprawnej łączności i funkcjonowania Wydziału konieczne było około 50 spotkań dziennie. Dwa lata działalności to 700 dni roboczych, to około 35 tysięcy spotkań – pod okiem Gestapo, żandarmerii, granatowej policji oraz „kapusiów”. Z trzynastu łączniczek Wydziału pięć zostało aresztowanych w czasie pełnienia swojej służby.

Przewożone przez kurierów materiały wywiadowcze i meldunki musiały być zminiaturyzowane i bardzo dobrze ukryte w czasie drogi. Niestety, przez większą część czasu działalności Wydziału Legalizacji „Agaton” – nie dysponowano profesjonalnym sprzętem do mikrofotografii szpiegowskiej. Używano więc standardowego filmu małoobrazkowego, ale jego mała rozdzielczość i grube ziarno bardzo ograniczały pojemność przekazywanego materiału.

Radykalne zmiany w technice miniaturyzacji rozpoczęły się od chwili wyładowania cichociemnego (9/10 kwietnia 1944 r.) **Stefana Bałuka**. Jego profesjonalna aparatura do prawdziwej szpiegowskiej mikrofotografii, nowa technika oparta o tzw. fisherowską emulsję bezzirnistą umożliwiała zmniejszenie strony maszynopisu do powierzchni nieco ponad 1 mm². Teraz można było nawet spory tekst wywiadowczy zmniejszyć do maleńkiej kropki, która nalepiona na kartę pocztową mogła spokojnie wędrować nawet niemiecką pocztą za granicę.

Montaż i zestrzanie tej skomplikowanej aparatury trwało dość długo, wybuch Powstania przerwał ledwie rozpoczętą produkcję mikrofotografii. Wybuch Powstania przerwał również działalność pracowników Wydziału Legalizacji „Agaton”.

Zorganizowani w plutonie pod nazwą AGATON zostali przydzieleni do Kompanii „Zemsta”, wchodzącego w skład Batalionu „Pięć” pod dowództwem mjr „Okonia” (Alfonsa Kotowskiego). Bili się tak dobrze, jak przedtem pracowali. Kilku z nich zostało odznaczonych Orderem Wojennym Virtuti Militari.

Na tym nie kończy się jednak historia Wydziału Legalizacji O/II. Pod koniec Powstania rtm. Stefan Bałuk pełniący obowiązki dowódcy kompanii Ochrony Sztabu gen. Bora, po upadku Powstania został wywieziony początkowo do obozu w Lamsdorf, a następnie do Oflagu II D w Grossborn. 27 stycznia 1945 roku w czasie ewakuacji obozu w głąb Niemiec – uciekł. W pierwszych dniach lutego dotarł do Warszawy. 15 lutego 1945 roku na ulicy Targowej spotkał płk Tadeusza Jachimka ps. „Jocker”, którego znał dobrze z okresu konspiracji.

- „Dobrze, że cię spotkałem” – powiedział Jachimek – „Musisz natychmiast zacząć działać, mnóstwo ludzi musimy kryć i mnóstwo ludzi zalegalizować do dalszego działania”.

Tak rozpoczął się drugi etap działalności Wydziału Legalizacji, który dla uczczenia poprzedniej działalności Stefan Bałuk, teraz ps. „Kubus”, nazwał kryptonimem „AGATON II”.

- „O formalnym rozwiązaniu Armii Krajowej dowiedziałem się dopiero w więzieniu” – wspomina Bałuk – „Czułem się nadal oficerem AK, a byłem naprawdę w WIN- ie (Wolność i Niezależność), którą organizował płk Rzepecki”.

Zapotrzebowanie na dokumenty było ogromne. Ludzie wychodzili z konspiracji, wracali do nowego życia, do własnych nazwisk. Wkrótce „Kubus” (Stefan Bałuk) odnalazł kolegów z komórki „Agaton” – Andrzeja i Danutę Strachockich (dawna pracownia „Żmijewski”) i „Agatę” – Zofię Chojnacką, dawna pracownia „Gajewski”.

Przez „Agatę” dotarł do Wydziału Łączności, który w dalszym ciągu był prowadzony przez „Marcysię”–Malessę i który to Wydział zgłaszał olbrzymie zapotrzebowanie na dokumenty. Przez 9 miesięcy Wydział AGATON II pracował na pełnych obrotach produkując setki dokumentów.

1 listopada 1945 roku nastąpiła wsypa i aresztowania, pseudo rozprawy sądowe i wyroki.

Jak powszechnie (obecnie) wiadomo, Marcysia–Malessa poszła na współpracę z płk Różańskim wierząc jego zapewnieniom, że polubownie chce rozwiązać sprawę powrotu „Akowców” do normalnego życia. Srodze się na tym zawiodła. Zapłaciła za to cenę najwyższą – cenę swego życia – popełniając samobójstwo.

„Kubusia” – Stefana Bałuka „wydała” „Agata” - Zofia Chojnacka. Wobec aresztowanej „Agaty” płk Różański zastosował okrutny szantaż. Zagroził, że jeśli nie ujawni działalności „Agatona II”, to jej matka – więzień Ravensbruck, gdzie była „królikiem doświadczalnym” i po kuracji w Szwecji wróciła do Warszawy – zostanie aresztowana. Wówczas „Agata” uległa.

- „Przez pięć lat wojny i okupacji dane mi było znaleźć się w niezwykle trudnych okolicznościach i poznać wielu ludzi odważnych i tchórzliwych, mądrych i głupich. Tak bardzo trudno być sędzią postępów ludzkich, a jeszcze trudniej przewidzieć, jak postąpią w różnych okolicznościach. Nie mam pretensji do „Marcysi”, wspaniałej bojowniczką z okresu konspiracji, wielokrotnie narażającej swoje życie w obronie innych. Jej prosty, normalny tok rozumowania nie dawał wiary, że mogą być tacy ludzie, jak „swołocz” Różański. Z różnych informacji wiadomo, że „Marcysia” robiła wszystko, nawet w postaci naiwnych demonstracji, aby występować w obronie „Akowców”. Skończyło się jednak tragedią.

Nie mam również pretensji do „Agaty” – Zofii Chojnackiej – powiedziałem jej to osobiście po wyjściu z więzienia.

Ja również miałem Matkę, która z powodu mojej działalności cierpiała przez całą wojnę, nie wiedząc czy Jej syn żyje i jak długo, po skoku w Kraju, żyć będzie ...

Dla mojej Matki – zrobiłbym to samo.

□

ADAM BORYS – dowódca „Parasola”- specjalnego oddziału „Kedywu” AK

Adam Borys, pseudonimy: „Bryl”, „Buda”, „Dyrektor”, „Kar”, „Pal”, „Pług”, (1909-1986); przybrane nazwiska: Burda Adam, Gałecki Adam. Oficer rezerwy artylerii WP: porucznik (1938 r.), kapitan, (Rozkaz Naczelnego Wodza L.157 z 9.02.1943 r. ze starszeństwem z 1.10.1942 r.), major, (Rozkaz Delegata Sił Zbrojnych Na Kraj Nr 319; Zatoka / 301 z 11.06.1945 r.), podpułkownik (Rozkaz Ministra Obrony Narodowej z 1982 r.).

Odnaczony ZKZ z M, VM V, KW 3x, K.AK. MW 5x, WARKP, MWWA, OOPV.

Żonaty od 1945 r. z Janiną z domu Trzaskowską (1918), pielęgniarką, mieli pięcioro dzieci: Jerzy (1946), absolwent Wydziału Melioracji SGGW, Bronisław (1947), doktor nauk rolniczych, adiunkt w Zakładzie Doświadczalnym Instytutu Zootechniki w Kałudze Wielkiej, Andrzej (1948), doktor nauk technicznych, adiunkt w Instytucie Przemysłu Mięsnego i Tłuszczowego w Warszawie, Maria (1949), zamężna Jędrychowska, absolwentka Wydziału Zootechnicznego SGGW, nauczycielka w Warszawie, Hubert (1950), absolwent Akademii Sztuk Pięknych, adiunkt tej uczelni.



foto. 1 Kpt (mjr) Adam Borys
„Pług” – dowódca „Parasola”

Urodzony 10 grudnia 1909 r. w Ciechanowie, pow. Gniezno, syn Walentego, mleczarza i Heleny z domu Bartz.

Od września 1920 r. uczył się w Gimnazjum Państwowym im. Bolesława Chrobrego w Gnieźnie i tam otrzymał w 1928 r. świadectwo dojrzałości. W czasie nauki w gimnazjum, należał do Związku Harcerstwa Polskiego.

Został skierowany do Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, gdzie uczył się od lipca 1928 r. do września 1929 r. Po ukończeniu podchorążówki wstąpił na Wydział Rolniczo - Leśny Uniwersytetu Poznańskiego, który ukończył w 1935 r., otrzymując dyplom inżyniera rolnika.

Od stycznia tego roku pracował w Wielkopolskiej Izbie Rolniczej w Poznaniu jako referent ekonomii gospodarstw wiejskich, po czym wyjechał na roczne stypendium Fundacji Kościuszkowskiej do USA na praktykę w przemyśle mięsnym. Po powrocie, od września 1936 r. został inspektorem standaryzacji w Polskim Związku Eksporterów Bekonu i Artykułów Zwierzęcych w Warszawie i potem od 1938 r. w Gdyni.

W kampanii wrześniowej w 1939 r. przydzielony do Ośrodka Zapasowego Artylerii nr 7 przy 17 PAL w Kielcach, został dowódcą baterii formowanego tam 55 PAL, 20 września wraz ze swoim oddziałem przekroczył granicę węgierską i został osadzony w obozie dla internowanych w Gyor. Tam samorzutnie, a potem w sposób zorganizowany zaczęły się tworzyć zespoły przerzutowe z Węgier i Rumunii do Francji. Natychmiast włączył się w pracę zespołu przerzutowego, który działał w Gyor. Na tym posterunku działał do końca 1939 r. i po zrealizowaniu głównej fali przerzutów, sam przedostał się do Francji. Przez Jugosławię dotarł do portu w Splicie, a stamtąd statkiem do Marsylii. Przybył tam w połowie stycznia 1940 r. i wkrótce znalazł się w największym obozie wojskowym w Coetquidan w Bretanii. Po ukończeniu kursu oficerów zwiadowczych / kwiecień - maj / został mianowany oficerem zwiadowczym II Dywizjonu 3 PAL 3 Dywizji Piechoty.

Rozpoczęcie ofensywy i najazd wojsk niemieckich na Francję zaskoczył 3 Dywizję, jeszcze przed zakończeniem jej formowania. Mimo to włączyła się ona do walk osłonowych wojsk francuskich, które jednak nie trwały długo. Po załamaniu się frontu, 3 PAL otrzymał rozkaz marszu do Saint Nazaire, skąd miał wypłynąć do Wielkiej Brytanii. Zgodnie z rozkazem, do jego obowiązków należała osłona załadunku 3 PAL na statek. W tym czasie rozpoczął się wielogodzinny falowy nalot niemieckiej Luftwafe na port. Gwałtowne bombardowanie rozproszyło żołnierzy, z których ocalała część, wraz z nim, przedarła się do pobliskiej rybackiej osady w La Turballe. Osada ta stała się punktem zbornym żołnierzy wielu jednostek 3 Dywizji. W La Turballe wraz z innymi załadował się na kuter rybacki i dryfując pomiędzy Saint Nazaire i La Rochelle, a mając oparcie w przybrzeżnych wysepkach Ile d'Yeu, Ile de Re i Ile d'0leon, oczekiwał na wezwane drogą radiową z La Pallice brytyjskie statki transportowe. Po kilkunastu godzinach na wysokości La Pallice, na pełnym morzu, nastąpił załadunek żołnierzy i oficerów i statki popłynęły do wybrzeży brytyjskich. Po rozładowaniu statków, został umieszczony w obozie wojskowym, skąd otrzymał przydział jako oficer zwiadowczy dywizjonu artylerii 1 Brygady Strzelców, dowodzonej przez gen. Paszkiewicza. W krótkim czasie skierowany został na specjalny staż do oddziałów brytyjskich, gdzie odbywał go do końca 1940 r. w oddziałach, których zadaniem było przygotowanie obrony wyspy White, a następnie doliny Southampton. W końcu roku powrócił do rodzimej jednostki i kontynuował dalsze Intensywne szkolenie w ciągu I półrocza 1941 r. W tym okresie do obozu w St. Andrews zaczęły docierać wieści o organizowaniu przerzutów oficerów, drogą lotniczą do kraju - z zadaniem prowadzenia dalszej walki konspiracyjnej.

W sierpniu 1941 r. zgłosił chęć udziału w konspiracyjnej pracy w okupowanym kraju. W związku z tym zgłoszeniem, w październiku został ewidencyjnie przeniesiony do 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Pierwszy kurs szkoleniowy, a było ich w sumie cztery, odbył w Szkocji w miejscowości Inverlochy. Kurs ten trwał prawie pięć tygodni, w ciągu których uczył się minierki, strzelania i gimnastyki. Pozornie niewinne wczasy, ale właśnie na tym kursie odpadło najwięcej

kandydatów. Drugi kurs, na który się zakwalifikował, dotyczył kondycji i powszechnie uzyskał nazwę „małpiego gaju”. Po czterech tygodniach, a więc w sumie po okresie ponad dwumiesięcznym szkoleniu, wraz z pozostałymi został przewieziony na położone w środkowej Anglii, w pobliżu Manchesteru lotnisko Ringway. Tu ćwiczone skoki ze spadochronem. Kurs ten trwał dwa tygodnie i w zasadzie stanowił ukoronowanie i zakończenie kursów mających na celu wyrobienie kondycji fizycznej.

Do zakończenia szkolenia pozostawały jeszcze dwa kursy: kurs walki dywersyjno-konspiracyjnej i odprawowy. Kurs walki dywersyjno-konspiracyjnej odbywał się w opustoszałym zameczku w Briggens, w środkowej Anglii i trwał ponad cztery tygodnie. Przez okres tych czterech tygodni wgłębiano się w arkana konspiracji, sposoby organizowania grup dywersyjnych... i znowu strzelania.

Początkiem zarówno teoretycznej jak i praktycznej nauki na kursie były problemy „wtopienia się” w otoczenie, a więc zagadnienia ubioru, zachowania się, wyrobienia umiejętności zgrania ubioru, ruchów i całego zachowania z przybranym wzorcem człowieka.

Uzupełnieniem tego programu było szczegółowe analizowanie prowadzonej w warunkach konspiracji walki dywersyjnej, ze szczególnym uwzględnieniem najczęściej popełnianych błędów i przyczyn osiągniętych sukcesów. Problematyka dotycząca organizowania zespołów dywersyjnych, zawierała nie tylko formy i możliwości prowadzenia walki, ale również zagadnienia własnej ochrony i bezpieczeństwa podległego zespołu ludzi, umiejętności posługiwania się atramentem sympatycznym.

Wykładowcy czynili wszystko, aby kursanci mogli nie tylko nauczyć się, ale przede wszystkim wczuć się w atmosferę miasta, miasteczka, ulicy i wsi polskiej pod okupacją, przyswoić sobie terminologię i żargon używany w okupowanym kraju, poznać nastroje społeczeństwa i formy działania Niemców.

Wreszcie nastąpił ostatni kurs- kurs odprawowy, który zamykał szkolenie cichociemnego. Kurs odprawowy wymagał od kursanta dużej inwencji, pomysłowości, skrupulatnej spostrzegawczości i pamięci. Zadaniem jego było przyuczenie kursanta do wcielenia się w nową osobowość, wynikała ona z otrzymania nowych dokumentów osobistych, przeznaczonych do posługiwania się nimi w kraju. Według tych papierów przeistoczyć się miał w Adama Gałęckiego, pracownika branży jajczarsko-mleczarskiej. Ta dziedzina zawodowa była mu znana i rokowała najmniej możliwości potknięć w czasie wpadki (śledztwa). Przy końcu kursu dowiedział się, że w kraju jest przewidziany do działalności dywersyjnej w organizacji o kryptonimie „Wachlarz”. Wylosował daleką kolejność zrzutu. Kurs ukończył na początku wiosny 1942 r., a w lotach zrzutowych do kraju, z uwagi na zbyt krótkie noce, trwała przerwa od początku kwietnia do września. Tak więc po ukończeniu kursu nie opuścił pałacyku położonego w południowo-zachodniej Anglii w Queens Gale Terrace, niedaleko Londynu i przebywał w nim nadal przez wiosnę, lato i początek jesieni.

Wreszcie z lotniska w Tamsford w dniu 1 października 1942 r. około godz. 21.00 samolot typu Halifax, którego dowódcą i pierwszym pilotem był kpt. Marian Wodzicki, zabrał go wraz z innymi na pokład. Ekipa, w skład której wchodził, składała się prócz niego z kpt. Bronisława Żeikowskiego, por. sapera Stanisława Kotorowicza i kuriera Rządu RP Jana Cegłowskiego, wystartowała wieczorem 1 października do lotu na kraj. Lot przebiegał nad Morzem Północnym. Dania, północnymi Niemcami. Nieopodal Grudziądza następowało zejście nad Wisłę i stamtąd nad zrzutowisko. 2 października około godz. 1.30 - po locie trwającym około ponad 5 godzin- ekipa wyskoczyła na spadochronach. Zrzut odbył się na terenie

placówki Armii Krajowej o kryptonimie "Bór", na łące wsi Brzozowo, położonej kilkanaście kilometrów od Garwolina. Po zeskoku i przekazaniu pasów z pieniędzmi oraz wszelkiego rodzaju broni z wyjątkiem osobistej, udał się wozem do Garwolina, gdzie oporządził się w lokalu miejscowej spółdzielni jajczarsko-drobiarskiej i następnie samochodem spółdzielni udał się do Warszawy. Był 74 skoczkiem do kraju z Wielkiej Brytanii, a przyleciał 14 lotem zrzutowym,

Po nawiązaniu kontaktu początkowo był w dyspozycji szefa Kedywu KG.AK., uczestniczył w szkoleniu. Od 1 kwietnia 1943 r, został zastępcą mjr. Jana Kiwerskiego, ("Kalinowski", "Lipiński"), dowódcy "Motoru", największego z oddziałów dyspozycyjnych Kedywu KG.AK., pod pseudonimem „Brył”, „Pług”. Jako obserwator uczestniczył w kilku akcjach dywersyjnych i wtedy zetknął się z zespołami grup Szturmowych Szarych Szeregów, których morale i dyscyplinę wysoko ocenił.

Gdy w czerwcu 1943 r. powierzono mu zorganizowanie nowego (po rozbiściu "Osy" - "Kosy") oddziału Kedywu KG.. przeznaczonego do likwidowania wyższych funkcjonariuszy aparatu okupanta. zwrócił się do władz harcerstwa o zgodę na oddelegowanie pod jego komendę 60 najstarszych harcerzy o kilkumiesięcznym stażu konspiracyjno-sabotażowym, aby z nich utworzyć kompanię "Agat". Oddział ten formalnie powołany do życia z dniem 1 sierpnia 1943 r., nosił kolejno kryptonimy: "Agat", "Pegaz", "Parasol", a wiosną 1944 rozrósł się z kompanii do batalionu. Kpt. Adam Borys używał wówczas pseudonimów "Brył" i "Kar", a od stycznia 1944 r. - "Pał" i "Pług".

Dowodzony przezeń oddział wykonał m.in. 13 głośnych akcji przeciwko wyższym funkcjonariuszom SS i Policji:

- 7 września 1943 r, na SS-Scharfuhrera Franza Burkla, zastępcę komendanta Pawiaka
- 24 września- na SS-Hauptscharfuhrera Augusta Kretchmanna, zastępcę komendanta obozu koncentracyjnego przy ul. Gęsiej
- 1 października 1943 r. na SS-Sturmana Ernesta Weffelsa, kierownika zmiany na „Syberii” - żeńskim oddziale Pawiaka
- 1 lutego 1944 r. na SS-Brigadefuhrera i Generalmajora der Polizei Franza Kutcherę - dowódcę SS i Policji dystryktu Warszawskiego maja 1944 r.- na SS-Hauptsturmfuhrera Waltera Stamma, szefa Gestapo w Urzędzie Dowódcy Policji, Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa dystryktu Warszawskiego
- 1 lipca 1944 r. - w Krakowie, na SS-Obergruppenfuhrera Wilhelma Koppego, wyższego dowódcę SS i Policji "Wschód" oraz sekretarza do spraw bezpieczeństwa w tzw. rządzie Guberni Generalnej.

Sukcesy bojowe odniesione przez oddział w walce z wrogiem są w dominującej mierze zasługą Adama Borysa.

W Powstaniu Warszawskim nadał dowodził batalionem "Parasol", w składzie zgrupowania "Radosława" (płk/gen, Jan Mazurkiewicz) w walkach na Woli. W dniu 6.08.na terenie Domu Starców, w czasie obserwacji z okien stanowisk ogniowych nieprzyjaciela, został ciężko zraniony przez snajpera.

Dowodzenie oddziałem przekazał swojemu zastępcy "Jeremiemu" (Jerzy Zborowski).

Po zranieniu został przeniesiony do punktu opatrunkowego przy pl. Mireckiego, a następnie przewieziony do szpitala Jana Bożego na Starym Mieście. Przeszedł dwie operacje, ale nie zgodził się na amputację ręki, która do

końca życia została bezwładna. Ze Starego Miasta kanałami, w nocy z 31.08. na 1.09.1944 r. został przeprowadzony przez „Ankę” (Strakacz - Porowska Halina) do Śródmieścia i przebywał w szpitalach przy ul. Foksal i Mokotowskiej 55.

Po kapitulacji został wywieziony z rannymi i osadzony w oflagu w Zeithain i tam był leczony od 14 października 1944 r. Przebywał tam jako Gałęcki Adam, ur.10.12.1909r. w Poznani, nr jeniecki 305043.

Wyzwolony z niewoli niemieckiej przez oddziały brytyjskie, 28 kwietnia 1945 r. wyjechał do kraju wraz ze swoją przyszłą żoną, pielęgniarką Janiną Trzaskowską. Przygodnymi środkami lokomocji dojechali do Leszna i tu się rozdzieliłi. "Pług" wraca do domu rodzinnego w Niechanowie k/Gniezna i w krótkim czasie 15 maja odbył się ich ślub. Miesiąc później "Pług" wyjechał do Warszawy, aby podjąć próbę leczenia rannej lewej ręki jak również zorientować się o możliwości podjęcia pracy zawodowej. W krótkim czasie potem w dniu 3 lipca 1945 r. został aresztowany przez służbę bezpieczeństwa i do września przebywał w więzieniu w Warszawie. Został zwolniony w ramach amnestii. Pod namową pułkownika "Radosława" dokonał aktu ujawnienia się przed Komisją Likwidacyjną AK Obszaru Centralnego.

Parę dni przed aresztowaniem podjął pracę w Państwowym Instytucie Naukowym Gospodarstwa Wiejskiego w Bydgoszczy jako kierownik działu mięsnego, dokąd powrócił po zwolnieniu z więzienia.

W sierpniu 1946 r. jako stypendysta UNRRA i rządu wysłany został na dalsze studia do USA (Chicago) i Wielkiej Brytanii. Po powrocie od kwietnia 1947 r. był kierownikiem działu naukowego w Centralnym Zarządzie Przemysłu Konserwowego w Warszawie. Uczestniczył w Kongresie Mikrobiologów w Kopenhadze (lipiec-sierpień) i w Światowym Kongresie Konserwowym w Farmie (wrzesień 1947 r.). W listopadzie został powołany na stanowisko Naczelnego Inspektora Standaryzacji w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. W 1950r. w lipcu przeniesiony został do Ekspozytury Wojewódzkiej, Centralnego Zarządu Przemysłu Mięsnego w Poznaniu na stanowisko St. Inspektora Standaryzacji. Na podstawie decyzji Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu został zwolniony z pracy w kwietniu 1952 r. i przez następne dwa lata przebywał jako bezrobotny w Witkowie k/Gniezna i tam wraz z żoną prowadził niewielkie gospodarstwo rolne.

Od 1954 r. został przyjęty do Zjednoczenia Przemysłu Jajczarsko-Drobiarskiego na stanowisko technologa, a od 1958 r. został organizatorem i następnie dyrektorem Instytutu Przemysłu Mięsnego. W czerwcu 1965 r. na Wydziale Przemysłu Rolno-Spożywczego SGGW obronił rozprawę doktorską. W kwietniu 1968 r. otrzymał stopień docenta w Instytucie Przemysłu Mięsnego.

Ze stanowiska Dyrektora Instytutu został zwolniony, natomiast pozostał dyrektorem zakładu badawczego i następnie pracowni, pozostając na tym stanowisku do końca życia.

Już w 1946 r. zainicjował zbieranie relacji i wspomnień żołnierzy bat. "Parasol", patronował tej akcji również po 1956 r. Do ostatnich chwil życia był w ścisłym kontakcie ze środowiskiem.

W 1986 r. w przeddzień 42 rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego dokonał odsłonięcia tablicy pamiątkowej umieszczonej na pałacu Krasińskich.

Na łamach prasy ukazało się kilka wywiadów z nim, m.in. "Chłopcy silni jak stal, oczy patrzą się w dal", (*Za i Przeciw* 1972 r., nr 125), „Między wrześniem a sierpniem" (*Przegląd techniczny*, 1980 r., nr 36), 0 zagrożeniu, etyce i świadomości", (*Słowo Powszechne*, 1984 r., nr 153), a ponadto pozycja w Słowniku Biograficznym Konspiracji Warszawskiej 1939-1944, tom 3, Andrzeja Krzysztofa Kunerta i wreszcie opracowanie staraniem żołnierzy Batalionu "Parasol" pt. „Pamięci Dowódcy” z października 2001 r., z okazji przyjęcia na patrona Gimnazjum w Witkowie dowódcy Batalionu „Parasol” – Adama Borysa.

Zmarł nagle w 1986 r. w czasie spaceru po ogrodzie, wśród swoich ukochanych jabłoni i grusz. Został pochowany na cmentarzu w Witkowie.

Do opracowania biografii wykorzystano, niezależnie od materiałów zebranych przez autora, opracowania Piotra Stachewicza "Parasol", wyd. III, PAX, 1991 r.; Andrzeja Krzysztofa Kunerta „Słownik Biograficzny Konspiracji Warszawskiej 1939 – 1944 r.”, tom 3., Inst. Wyd. PAX, 1991 r.

Materiał nadesłała Maria Chojecka ps. „Kama”

BRONISŁAW PIETRASZEWICZ

- uczestnik akcji Małego Sabotażu

„Wawer”,

dowódca akcji zamachu na

Kutcherę

Bronisław Pietraszewicz, pseudonim „Lot”, „Bronek”, (1922 – 1944), podchorąży (31.12.1943 r. elew SPRP Agricola), oficer rezerwy WP, podporucznik (pośmiertnie 1944 r.).

Ojciec Włodzimierz, inżynier (1883 – 1962), od pierwszych chwil okupacji umożliwiał i pomagał synowi w organizowaniu życia podziemnego, mającego na celu walkę z okupantem. W jego mieszkaniu odbywały się zebrania organizacji PET, zbiórki harcerskie Warszawskich Grup Szturmowych „Szarych Szeregów”, odprawy szkoleniowe i bojowe żołnierzy oddziału o kryptonimach „Agat”, „Pegaz”, „Parasol”. Współdziałał bezpośrednio ze służbą „Moto”, dokonując rozpoznania i wynajmu garaży dla samochodów oddziału. Po śmierci syna nie przerywał kontaktu, a wręcz odwrotnie umożliwiał nadal korzystanie z mieszkania i zabezpieczał odbywające się zbiórki i spotkania.

Matka Wanda (1899 – 1998), miała identyczny jak ojciec stosunek do poczynañ Syna i pomagała mu nie tylko praktycznie ale otaczała go swoją matczyną miłością. W parę lat po śmierci męża, w roku 1968 na wniosek dowódcy oddziału mjr., dr. inżyniera Adama Borysa została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi.

Urodzony 16 marca 1922 r. w Duniłowiczach na Wileńszczyźnie, syn

Włodzimierza, inżyniera i Wandy z domu Ratomska przy mężu. Rodzice wraz z dziećmi przeprowadzili się do Warszawy i zamieszkali u wujostwa Pietraszewiczów na Żoliborzu przy ul. Marymonckiej. Tu spędził wraz z siostrą Heleną i starszymi przyrodnymi dwoma braćmi swoje dzieciństwo. Do szkoły powszechnej RTPD na placu Wilsona uczęszczał w latach 1928 - 1934, po czym zdał egzamin wstępny do Gimnazjum i Liceum J. Poniatowskiego, którego czwartą klasę ukończył w 1938 r. Naukę kontynuował w Liceum, którego pierwszą klasę ukończył w 1939 r. i wtedy w Warszawie zastała go wojna.

We wrześniu spędził pierwszy tydzień w kompanii przysposobienia wojskowego, przeszedł z nią szlak ze stolicy do Brześcia nad Bugiem. Był świadkiem poniewierki i cierpień uchodzących na wschód rodaków, przejawów szlachetności i poświęcenia, jak też podłości i nikczemności. Głód, chłód, poniewierka, dramat losów ludzkich i całego narodu, wyzwolenie w ludziach najszczytniejszych i najnikczemniejszych uczuć we wzajemnych stosunkach, w obliczu niebezpieczeństwa i zagrożenia życia, wreszcie rozwiązanie kompanii, a później długi samotny powrót do Warszawy, stanowiły dramatyczną lekcję życiową, która jednak utwierdziła jeszcze pozytywne cechy charakteru Bronka. Wyszedł z Warszawy chłopcem, powrócił do niej dojrzałym człowiekiem, który od razu podjął obowiązki wynikające z konieczności utrzymania domu i rodziny. Trochę później, bo już w 1940 r. na tajnych kompletach ukończył drugi rok liceum i uzyskał maturę. W tym samym czasie bardzo aktywnie uczestniczył w odradzającym się życiu intelektualnym młodzieży, zwłaszcza na Żoliborzu w tworzonym żoliborskim kręgu PET-u. Cechowała go prawość charakteru, opanowanie, wyrozumiałość i życzliwość dla otoczenia. Typ intelektualisty o rozwiniętych zainteresowaniach. Był jednym z pierwszych i najaktywniejszych członków, który nie tylko uczęszczał regularnie na wszystkie spotkania, ale sam przygotowywał różne referaty, koreferaty, zabierając głos w dyskusjach.

Równoległe do tej działalności, samokształcenia, rozpoczął studia na Wydziale Mechaniki w Państwowej Wyższej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda.

Brał czynny udział w akcjach w ramach Małego Sabotażu „Wawer”, którego program bardzo go pociągał.

Po aresztowaniu por. hm. „Suma” (Jan Błoński), działacza harcerskiego z przedwojennego lewicowego ugrupowania instruktorów harcerskich o nazwie „Złota Strzała”, późniejszego chemika, działającego w wytwórniach materiałów wybuchowych Związku Odwetu i instruktora wyszkolenia wojskowego w Szarych Szeregach, jego mieszkanie położone przy ul. Brackiej 23 zostało zapieczętowane przez gestapo.

W mieszkaniu tym mieściło się masę materiałów konspiracyjnych, była schowana broń, skomplikowana i cenna aparatura chemiczna, prasa i archiwalne dokumenty konspiracyjne, a także wartościowe, również w punkcie widzenia kultury narodowej, antyczne mebl, dywany i obrazy. Postanowiono zatem wszystkie wymienione rzeczy z mieszkania wywieźć. Akcja odbyła się 2 lutego 1943 r. Wzięło w niej udział wielu chłopców, a wśród nich „Zośka” (Tadeusz Zawadzki), dowodzący ubezpieczeniem „Rudy” (Jan Bytnar), „Jeremi” (Jerzy Zborowski), „Artur” (Janusz Diem) i „Lot”. Później brał udział w akcji „Cetestynów” i następnie w akcji „Sól”.

Do Oddziału „Do zadań Specjalnych” Kedywu KG AK o kryptonimie „Agat” przeszedł z Szarych Szeregów w dniu 1 sierpnia 1943 r. w ramach drużyny „CR 500” o kryptonimie „PET” z hufca „Centrum”, w gronie chłopców z dawnego żoliborskiego PET-u i kręgu staromiejskiego. Przeszedł w zespole w którym byli m.in.: Ali.

(Stanisław Huskowski), „Artur” (Janusz Diem), „Bruno” (Bronisław Helwig), „Cichy” (Marian Senger), „Dietrich” (Eugeniusz Schielberg), „Juno” (Zbigniew Gęsicki), „Kruszynka” (Zdzisław Poradzki), „Robert” (Wiesław Raciborski), „Sokół” (Kazimierz Sott), „Żbik” (Jan Kordulski). Wszyscy zostali wcieleni do I plutonu. „Lot” został zastępcą dowódcy I plutonu. „Jeremiego” (Jerzy Zborowski).

„Broniek”, przeżył drogę od intensywnej nauki i samokształcenia do pełnego zaangażowania w walkę zbrojną, która stała się nakazem chwili w miarę wzrastającego terroru okupanta. Razem z wieloma kolegami, a wśród nich „Jeremim”, porzucili naukę u Wawelberga i Rotwanda.

Akcja na „Burkla”

Już 7 września 1943 r. „Lot” brał udział w specjalnej operacji bojowej mającej na celu zlikwidowanie Franza Burkla, jednego z najokrutniejszych funkcjonariuszy esesmańskiej załogi warszawskiego więzienia Pawiak, mającego na sumieniu setki więźniów mordowanych i torturowanych. Wyrok został wykonany przez żołnierzy I plutonu „Agatu” w składzie „Lot”, „Dietrich”, „Kędzior” (Henryk Migdalski) i kierowca „Konrad” (Józef Nowocień), wypożyczony z baonu „Zośka” pod dowództwem „Jeremiego”. Akcja trwała 90 sekund. Strat własnych nie było.

W październiku 1943 r. rozpoczął II turnus w szkole podchorążych „Agricola”. W listopadzie został dowódcą I plutonu kompanii „Agat”.

4 listopada 1943 r. o godzinie 7.00 nastąpiło spotkanie na ul. Śmiałej „Lota”, „Kruszynki”, „Kędziora” i „Mruka” z „Orlińskim” (Antoni Staszewski), który miał przekazać wiadomość o możliwości kupna i odbioru broni. Po ustaleniu zasad odbioru broni z „Orlińskim” rozstali się. Kiedy szli omawiając szczegóły, około godziny 8.00 niespodziewanie nadjechało auto z gestapowcami. Było ich sześciu, uzbrojonych w peemy. Zatrzymali się przy idących i rozległo się powszechnie znane: „Halt! Hande hoch!” - równocześnie z pistoletami wymierzonymi w piersi chłopców. Po przesłuchaniu i wylegitymowaniu gestapowcy rozpoczęli osobistą rewizję i znaleźli u „Lota” parę lipnych dowodów, szyfrowane rozkazy i to było powodem, że postanowili wszystkich czterech zabrać ze sobą. W tej sytuacji nie widząc innego wyjścia „Kruszynka”, pierwszy, wykorzystując odpowiedni moment wytrącił pistolet gestapowcowi i zaczął uciekać w kierunku pl. Inwalidów. Rozległy się strzały. To samo zrobił „Lot”, popchnął gestapowca na drugiego i w czasie zamieszania zaczął uciekać w odwrotną stronę w kierunku ulicy gen. Zajączka. „Mruk” i „Kędzior” widząc wielki zamęt rzucili się do ucieczki, jeden za „Kruszynką”, a drugi za „Lotem”. „Mruk” nie miał szczęścia. Nie daleko odbiegł gdy trafiła go kula wroga. Legł ciężko ranny. „Kędzior” biegnąc za „Lotem” dostał postrzał w nogę. Kulał lecz biegł dalej i znalazł się za zakrętem. Część gestapowców podbiegło do leżącego „Mruka” i w bezsilnej wściekłości wybijają konającemu kopniakami szczęki. Część gestapowców pobiegła za rannym „Kędziorem” i po chwili wróciła z nim, przy czym przy samochodzie dostał solidne bicie. Wreszcie ze zubożniętym zbitym „Kędziorem” gestapowcy odjechali. „Lot” i „Kruszynka” się uratowali i dotarli na punkty kontaktowe plutonu, skąd zawiadomili „Jeremiego” o zamordowaniu „Mruka” i zabranii do gestapo „Kędziora”. Natychmiast powstał projekt odbicia z rak gestapo „Kędziora”, lecz nie można go było zrealizować, ponieważ w dniu 7 listopada nadeszła wiadomość, że „Kędzior” został zamordowany w czasie pierwszych przesłuchań nic Niemcom nie zdradziwszy.

Akcja na „Kutschere”

W związku z planowaną specjalną operacją bojową „Kutschera”, mającą na celu likwidację dowódcy SS i Policji na dystrykt warszawski Franza Kutschery, odpowiedzialnego za wzmożenie terroru w Warszawie, jesienią 1943 r. dowództwo oddziału „Pegaz” powierzyło przeprowadzenie tej akcji żołnierzom I plutonu i na dowódcę wyznaczono „Lota”. Przed podjęciem decyzji służba wywiadu pod dowództwem „Rayskiego” (Aleksander Kunicki) kontynuowała codzienną obserwację Kutschery, by nie uchronić żadnej zmiany, która mogłaby zajść w czasie i sposobie jego przejazdu z Alei Róż w Aleje Ujazdowskie. Te obserwację prowadziły sprawdzone i doświadczone wywiadowczynie: „Hanka” (Anna Szarzyńska – Rewska), „Karna” (Maria Stypułkowska – Chojecka), „Devajtis” (Maria Dziębowska). „Lot” nawiązał bezpośredni kontakt z „Rayskim” przejmując i uściślając dane prowadzonego wywiadu; osobiście badał punkty zagrożenia ze strony Niemców. Zapoznawał się z terenem i dokonywał wyboru miejsca akcji. Opracowując systematycznie do najdrobniejszych szczegółów jej plan, ustalał równocześnie skład osobowy zespołu. Pierwszym wykonawcą postanowił być osobiście. Kryterium doboru stanowiła w pierwszym rzędzie jego znajomość poszczególnych ludzi, przewidywana ich przydatność do wypełnienia indywidualnych zadań. Stąd w skład zespołu akcyjnego weszli przede wszystkim „petowcy” - koledzy „Lota”, którzy brali z nim udział w akcji w ramach Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”. Ostatecznie zespół został ustalony w składzie: „Lot” - dowódca i pierwszy wykonawca, „Ali” - zastępca dowódcy i ubezpieczenie, „Kruszynka” - drugi wykonawca, „Miś” (Michał Issajewicz) - kierowca i trzeci wykonawca; „Cichy” - ubezpieczenie, „Olbrzym” (Henryk Humięcki) - ubezpieczenie, „Juno” - ubezpieczenie, „Bruno” - kierowca, „Sokół” - kierowca. W zespole tym zaszła jedyna zmiana, bo na miejsce „Żbika” został wyznaczony „Ali”, ponieważ po pierwszym nie udanym wystawieniu w dniu 28 stycznia 1944 r. „Żbik” został w innych okolicznościach postrzelony przez napotkanych przypadkowo żandarmów i w wyniku tego postrzału stracił rękę.

Drugi termin wykonania akcji ustalono na 1 lutego 1944 r. Akcję zespół przeprowadził skutecznie, likwidując Kutschere. Nie obeszło się bez strat własnych. W toku akcji pierwszym rannym w brzuch został „Lot”, potem w głowę „Miś” i następnie w brzuch „Cichy” oraz zaraz po nim „Olbrzym”. Ranni wycofali się o własnych siłach do samochodu „Sokoła”, który razem z nimi odjechał z miejsca akcji ulicami Szopena, Mokotowską, Kruczą, Bracką, Zgoda, Zielną, Sienną i Graniczną dojechał do pl. Bankowego, skąd zabrał „dr. Maksa” (Zbigniew Dworak), a następnie dojechał do szpitala Maltańskiego. W szpitalu Maltańskim przyjęto lekko rannych „Olbrzyma” i „Misia”, natomiast ciężko rannych „Lota” i „Cichego”, „dr Maks” zawiózł do szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze, gdzie sam pracował. W szpitalu pozorował, że ranni zostali postrzeleni przez straż kolejową w czasie przechodzenia przez tory. Przystąpiono natychmiast do niezbędnych zabiegów i podano kroplówki. Dowództwo oddziału po naradzie postanowiło zabrać rannych ze szpitala Przemienienia Pańskiego, ponieważ nie gwarantował on ich uratowania, a stwarzało to prawie pewną możliwość ich aresztowania przez gestapo, co naraziłoby obu na dodatkowe cierpienie. Ponadto ranni znajdowali się w stanie, który nie gwarantował pełnej samokontroli i mogła nastąpić „wsypa” oddziału i rodzin żołnierzy. Słuszność podjętej decyzji potwierdziła się zaraz po odprawie gdy kpt. „Pług” (Adam Borys) dowiedział się od „Janiny” (Halina Strachalska-Dunin Karwicka-Rakoczy), że jej znajomy policjant z centrali policji kryminalnej (a był nim ojczym „Bladego”) poinformował ją o nadejściu z komisariatu praskiego informacji

o rannych w szpitalu Przemienienia Pańskiego. Policja była obowiązana złożyć meldunek do gestapo, jednak była skłonna opóźnić go o dwie godziny. Kpt. „Pług” postanowił powierzyć organizację akcji zabrania rannych „Jeremiemu”. Zespół akcyjny „Jeremi” zorganizował go w czterech grupach. Pierwsza z nich, z nim samym na czele, przeniesie rannych na noszach z sali szpitalnej do karetki i z dwoma żołnierzami będzie ubezpieczać w czasie jazdy przez miasto. Druga grupa ma na terenie szpitala stanowić ubezpieczenie pierwszej. Pozostałe dwie grupy zostaną rozstawione przed szpitalem i wokół niego na ulicy.

Akcja odbyła się zgodnie z ustaleniami. Po zabraniu rannych zwrócono policjantom broń bez amunicji i wycofano się. Do karetki z rannymi wsiadło jako ubezpieczenie dwóch żołnierzy oddziału, z których jednym był na pewno „Ziutek” (Józef Szczepański). Do godziny 19.00 zadanie zostało wykonane. Samochód z rannymi zmierzał ulicami: Brukową, Targową, Zieleniecką, przez most Poniatowskiego, Alejami Jerozolimskimi i Poznańską do szpitala umieszczonego przy szkole pielęgniarek na rogu Koszykowej i Chałubińskiego.

Pomimo interwencji „Pani Stasi” (Stanisława Kwaskowska) rannych nie przyjęto. Od tego momentu rozpoczęła się gehenna ratowania i lokowania rannych w szpitalach. Po wielu perturbacjach ranni zostali wreszcie przyjęci do kliniki dr. Henryka Webera i tam przebyli noc, po czym wreszcie „Lota” ulokowano w szpitalu Wolskim, a „Cichego” w szpitalu Maltańskim. Pomimo udzielonej pomocy stan „Lota” dnia 3 lutego gwałtownie się pogorszył. Rozwinęło się zapalenie otrzewnej, wystąpiła całkowita martwica wątroby. Powtórna transfuzja przyniosła chwilowe polepszenie stanu, lecz zaraz potem rozpoczęła się agonía. „Lot” umierał przytomny i pełen pragnienia życia. Dnia 4 lutego 1944 r. o godzinie 8.50 nastąpił zgon.

Pogrzeb odbył się 7 lutego na cmentarzu wojskowym na Powązkach. W pogrzebie uczestniczyli kpt. „Pług”, „Robert”, „Jeremi” oraz koledzy, którzy nieśli trumnę: „Dietrich”, „Seta” (Zdzisław Buczyński), „Kruk” (Władysław Refling) i „Zapiewajło” (Marian Buczyński). Po wojnie po ekshumacji został pogrzebany w mogile kwatery Batalionu „Zośka”.

Los „Cichego” w szpitalu Maltańskim był podobny. „Cichy” zmarł 6 lutego, a pogrzeb jego odbył się w trzy dni później, również na Powązkach.

Rozkazem odznaczeniowym i awansowym dowódcy AK nr 267 BP z dnia 25 marca 1944 r. „Lot” został pośmiertnie awansowany do stopnia podporucznika i odznaczony Krzyżem Walecznych i Krzyżem Orderu Virtuti Militari V kl.

Materiały nadesłała do redakcji Maria Chodecka, ps. „Kama”

W następnym numerze *Zeszytów Historycznych* przewidujemy publikację szczegółowego opisu przebiegu akcji zamachu na Kutcherę, na podstawie materiałów Aleksandra Kamieńskiego.

Emisariusz

Komendy Głównej Armii Krajowej

mjr kaw. Aleksander Stpiczyński

ps. „Wilski”, „Klara”

cichociemny

Kawaler Orderu Virtuti Militari

Aleksander Stpiczyński „Wilski” miał zadanie jako emisariusz Komendy Głównej Armii Krajowej przedostać się przez okupowaną Europę do Naczelnego Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych w Londynie. Dla wykonania tego zadania został włączony do komórki „666”.



Mjr kaw. Aleksander Stpiczyński,
ps. „Klara” i „Wilski”, słynny kurier
komórki „666”



Ppłk. Marian Drobik (fot. mjr.),
ps. „Dzięcioł”, szef Oddziału
II KG ZWZ-AK

Zadaniem komórki „666” było organizowanie pewnego i szybkiego przerzutu kurierów z meldunkami i materiałami wywiadowczymi z Komendy Głównej Armii Krajowej do Sztabu NW w Londynie. Jako arystokrata niemiecki Arnold von Luckner (papiery z Wydz. Legalizacji AK) dociera do Paryża. Aresztowany na zielonej granicy hiszpańskiej ucieka dwukrotnie Niemcom i dociera do Londynu. We wrześniu 1944 r. skacze w kraju jako cichociemny – bierze udział w walkach 2 Dywizji AK na Kielecczyźnie.

„666” to była komórka stworzona do organizowania możliwie pewnego i szybkiego przerzutu kurierów i emisariuszy Komendy Głównej Armii Krajowej poza granice okupacji niemieckiej. Tak to właśnie formułował wydany gdzieś na przełomie lat 1941—1942 rozkaz szefa Oddziału II Komendy Głównej „Dzięcioła” — ppłk. Mariana Drobika, który tworzył i dowodził pod okupacją niemiecką olbrzymią siecią wywiadowczą, obejmującą prawie cały obszar tej okupacji, od frontu wschodniego aż do Pirenejów. I właśnie zdobycze pracy tego wywiadu, które nie dawały się przesać drogą radiową, musiały być przekazywane przez kurierów.

Sposoby przesyłania meldunków były oczywiście różne. Droga przez Francję — choć jedna z wielu — odegrała jednak dużą rolę, szczególnie przy przerzucie kurierów i emisariuszy obarczonych dodatkowo poleceniami relacji bezpośrednich. Przekazywane dane miały duże znaczenie, nawet w kontekście olbrzymiego militarnego wysiłku połączonych sił alianckich. Ich szybkie i niezawodne dotarcie do Naczelnego Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych i stamtąd do sztabu wojsk alianckich było sprawą dużej wagi.

„666” rozwijana była stopniowo. Najpierw trzeba było nauczyć się jeździć do Rzeszy, potem przez Rzeszę do Francji okupowanej oraz nieokupowanej i dopiero po bezbłędnym opanowaniu tych tras możliwe się stało używanie ich na każde zawołanie. Realnie można było myśleć o następujących wariantach: nad Morze Śródziemne w okolice Riwiery Francuskiej i dalej aliancką łodzią podwodną; do Hiszpanii przez Francję okupowaną; do Hiszpanii przez Pireneje południowo-wschodnie z Francji nieokupowanej i wreszcie — to było rozwiązanie najlepsze, ale zrealizowane najpóźniej, bo dopiero w drugim kwartale 1943 r. — z okupowanej Francji północnej, bezpośrednio samolotem.

Również personel „666” wchodził do akcji stopniowo. Prawie od początku działalności „666” współpracował ze mną „Jan” por. Tadeusz Jabłoński, technik i student prawa pracujący przed wojną również jako instruktor pływacki WKS „Legia”, trochę później doszedł „Żaryn” lub „Henri”, inż. Bolesław Zieleniewski, absolwent Politechniki w Charlottenburgu, pan ówczesnie już ponad sześćdziesięcioletni.

Początki działalności „666” oparte były w wielkiej mierze na improwizacji. Potem dzięki wspianiałym dokumentom produkowanym przez komórkę legalizacyjną Oddz. II KG AK, na której czele stał inż. Stasław Jankowski („Agaton”), droga do Francji nie stanowiła problemu: na tej trasie pomimo kilkuset przejazdów nie zanotowaliśmy ani jednej wpadki. Przeciwnie, dokumenty nasze niejednokrotnie sprawdzały się w bardzo różnych sytuacjach.

„Wilski”, rtm. Aleksander Stpiczyński, doszedł do naszej trójki w „666” jako czwarty pod koniec 1942 r. Problemem stojącym wtedy przed nami była granica hiszpańska. Przez Pireneje trzeba było przechodzić z ominięciem wszelkich kontroli. Legalnego przejścia zapewnić nie mogły nawet najlepiej podrobione dokumenty — wobec bardzo małego ruchu osobowego każdy mający przekraczać granicę był awizowany. Oczywiście istniały możliwości zaawizowania, wymagało to jednak wielkiego wysiłku organizacyjnego i praktycznie mogło być zastosowane jednorazowo, co wobec koniecznego częstego przesyłania kurierów nie stanowiło rozwiązania zadowalającego. Pozostawało więc przekraczanie granicy zielonej, a w zimie raczej białej. Wymagało to sporego wysiłku fizycznego i nie w każdym przypadku było możliwe, a zawsze łączyło się z ryzykiem aresztowania. Ryzyko to było przy tym po obu stronach granicy podobne: po stronie francuskiej w strefie okupowanej kontrolę w obszarze przygranicznym sprawowali bezpośrednio Niemcy, a nawet w przypadku aresztowania przez żandarmerię francuską „podejrzany” był

prawie z reguły przejmowany przez policję niemiecką. To samo odnosiło się i do strefy nieokupowanej z tą jedynie różnicą, że Niemcy byli tu mniej widoczni. Po stronie hiszpańskiej dochodziła dodatkowa trudność: konieczność przebycia stosunkowo długiej drogi przez pas podlegający bardzo ścisłej kontroli, w którym nie dość płynna znajomość języka hiszpańskiego ściągała od razu uwagę. Każdy nie mogący się odpowiednio w tym pasie wylegitymować wędrował niejako automatycznie do obozu w Mirandzie, skąd Niemcy wyławiali tych, którzy mogli się dla nich wydać interesujący.

Właśnie dla doskonalenia przejścia do i przez Hiszpanię doszedł do nas „Wilski”. Pewne dane, punkty zaczepienia, pomoc itp. były oczywiście już przygotowane — współpracowaliśmy wtedy z republikanami hiszpańskimi, osiadłymi we Francji i Belgii po przejęciu władzy przez Franco. Wszystko to trzeba było jednak sprawdzić, powiązać, usunąć ewentualne usterki itd. „Wilski”, którego zadaniem jako emisariusza było jak najszybsze dojście do Londynu, miał jednocześnie drogę „doszlifować” i przekazać nam odpowiednie informacje.

Pomimo stosunkowo precyzyjnej jak na nasze ówczesne możliwości organizacji pracy każde zadanie zawierało pewną porcję niewiadomych, przewracających niejednokrotnie plany i zamierzenia. Tak właśnie stało się z wyprawą „Wilskiego”.

Relacja Aleksandra Stpiczyńskiego, napisana bezpośrednio po wojnie, a więc oparta na faktach będących jeszcze świeżo w pamięci, opowiada tamte przeżycia prosto, bez patosu, tak jak się wtedy żyło: jest zadanie — należy je wykonać, są kłopoty — trzeba się zastanowić, jak się z nich wygrzebać. Omawia pewien wycinek działalności „666”, i to jedyny, na którym zdarzyła się wpadka, przypadkowa zresztą i niezawiniona ani przez nas, ani przez nasze dokumenty, które wyszły z niej obronną ręką, zdając egzamin aż do końca. Na tle tej opowieści, a w szczególności na tle dalszych, już po aresztowaniu, dziejów Autora, rysuje się jego sylwetka: człowieka, który nigdy nie uważał, że gra jest przegrana czy choćby zakończona, który w każdej sytuacji potrafił spostrzec jakieś wyjście, często zupełnie zaskakujące.

Odcinek życia „Wilskiego” nie był łatwy, przeciwnie, było w nim wiele chwil tragicznych. „Wilski” nigdy jednak nie popadał w przygnębienie, o co w ówczesnej sytuacji nie było trudno. Przeciwnie, zawsze patrzył na świat z humorem i działał.

Życiorysem Aleksandra Stpiczyńskiego („Wilski”, „Klara”), ur. w 1898 r. mogłoby się podzielić wiele osób. W latach 1917—1920 walczył w 1. pułku Ułanów Krechowieckich w Korpusie gen. Dowbora-Muśnickiego i w 4. pułku Ułanów Zaniemeńskich. W połowie lat trzydziestych przechodzi do Sztabu Głównego. Z ramienia Oddziału II Sztabu pracuje na placówkach zagranicznych. W sierpniu 1939 r. jest Delegatem Naczelnego Wodza przy formującym się w Polsce Korpusie Czeskim. Jesienią 1939 r. uwalnia z internowania w Rumunii szefa polskiej „dwójki” płk. Józefa Smoleńskiego.

We Francji pracuje w Sztabie Naczelnego Wodza. W dniach od 19 maja do 1 czerwca 1940 r. odbywa podróż Paryż—Warszawa jako emisariusz Naczelnego Wodza. W Kraju działał w Oddziale II KG ZWZ-AK. Organizator i pierwszy kierownik referatu „Wschód”. 26 grudnia 1942 r. jako emisariusz Komendy Głównej rozpoczyna podróż Warszawa—Londyn.

Opuszcza Warszawę i przybywa do Paryża jako pułkownik i arystokrata niemiecki Arnold von Luckner. We Francji zmienia tożsamość. Aresztowany na granicy hiszpańskiej. Obóz w Compiègne i ucieczka z niemieckiego transportu więziennego, ciężkie złamanie nogi i więzienie w Metz. Udana ucieczka



Dekoracja Orderem Virtuti Militari emisariuszy Komendy Głównej AK w Londynie. Od lewej ppłk. dypl. Michał Protasewicz, gen. K.Sosnkowski, mjr. Aleksander Stpiczyński i por. Jan Nowak Jeziorański

i 17 października 1943 r. angielski samolot zabiera go z konspiracyjnego lotniska spod Tours.

W Anglii w Oddziale VI Sztabu Naczelnego Wodza. 24 stycznia odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari V kl. przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

W nocy z 21 na 22 września 1944 r. skacze ze spadochronem do Kraju. Bierze udział w walkach 2. Dywizji AK na Kielecczyźnie. W „wigilię Wigilii” tego roku aresztowany przez Gestapo. Obozy w Gross-Rosen, Dora i Mauthausen.

Po wojnie - krótko w Anglii i 25 lat w Ekwadorze, gdzie od podstaw zakłada własną plantację roślin południowych. W 1974 r. powraca z rodziną do Polski. Zmarł 21 września 1987 r. w Warszawie.

**Płk dr inż. Kazimierz Leski
Kawaler Orderu Virtuti Militari**

Wspomnienie o generale Michale Gutowskim

Chociaż zmechanizowana druga wojna światowa stworzyła z niego doskonałego dowódcę jednostki pancernej, gen. Gutowski pozostał kawalerzystą z krwi i kości. Wychowanek Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, uzyskał najwyższe osiągnięcie kawalerzysty w czasie pokoju: udział w olimpijskiej hipicznej ekipie – w 1936 r. w Berlinie, gdzie Polacy zdobyli srebrny medal.

Generał Michał Gutowski, dowódca szwadronu 17 P. Ułanów w Kampanii Wrześniowej 1939 r. dowódca szwadronu i zastępca dowódcy 10 Pułku Strzelców Konnych, dowódca 2 P. Pancernego w kampanii Zachodniej Europy 1944-1945.

Całego jego życie pozostało jednak związane ze szlachetnymi wierzchowcami. Momenty wolne od służby poświęcał hipice, polowaniu, konkursom jeździeckim i pielęgnacji koni. Zaczynając trudne wygnańcze życie w Kanadzie, założył szkołę jazdy, gdzie instruował nie tylko amatorów jazdy konnej, lecz szkolił też kanadyjską ekipę olimpijską.

Po powrocie do Polski w latach pięćdziesiątych stał się jednym z entuzjastycznych zwolenników odtworzenia szwadronu reprezentacyjnego III RP. Gdy ten wymarzony szwadron stał się rzeczywistością, włożył, pomimo poważnego już wieku, dużo starań i pracy, aby z czasem oddział ten stał się godnym spadkobiercą dumnych tradycji międzywojennych pułków jazdy polskiej.

Kawalerzysta par excellence, wysoki, postawny, przystojny – w gronie kolegów znany jako „Piękny Gucio” – szarmancki w stosunku do płci pięknej. Cechowało go głębokie koleżeństwo i to nie tylko z braćmi oficerami, lecz również w stosunku do swych podkomendnych. Gdy kiedyś po wielu latach spotkał się znowu ze swym przednim strzelcem czołgowym, wzruszające było patrzeć na serdeczność i radość ich powitania.

Generał Gutowski miał wysoko rozwinięte żołnierskie poczucie solidarności. Po dekoracji orderem Legion d'Honneur przez prezydenta Chiraca w czerwcu 2004 r. zaznaczył, że wyróżnienie to jest uznaniem nie tylko dla niego osobiście, ale i dla wszystkich kolegów, w gronie których walczył o oswobodzenie Francji i Polski. W jego charakterze istniała, mało zauważalna dla przygodnych osób, twarda prostolinijność. Michał Gutowski osądziwszy sytuację, pobierał nieraz moralnie trudne decyzje i nie zbacał z wybranej drogi chociażby jego decyzja mogła być niepopularna lub nawet wysoce niekorzystna dla niego samego. Ta wierność ideałom była też częścią jego sylwetki.

Tracimy szczerego przyjaciela nawiązującego swą postawą do chlubnego wzoru i tradycji kawalerzysty II Rzeczypospolitej. Gen. bryg. w st. spocz. Michał Gutowski zmarł w wieku blisko 96 lat w dniu 23 sierpnia 2006 r.

Teresa Skinder Suchcitz

Szarża pod Uniejowem

(wspomnienie gen. M. Gutowskiego zapisane przez Roberta Woronowicza)

W czasie licznych spotkań z Generałem szczególną uwagę przykładałem zawsze do jego wspomnień z okresu II Wojny Światowej. Rzadko miało się okazję słuchać człowieka o tak bogatych doświadczeniach bojowych. Zwłaszcza zdarzenia z Kampanii Wrześniowej pokazują, jak niewiele wspomnień uczestników tych walk zostało spisanych. W relacjach Generała zwracała uwagę dokładna pamięć zdarzeń sprzed ponad 60 lat.

Opowieść o szarży na most na Warce pod Uniejowem zapamiętałem dokładnie, ponieważ nie została odnotowana w żadnych znanych mi pamiętnikach.

Generał opowiadał:

W początkach Kampanii Wrześniowej Wielkopolska Brygada Kawalerii, do której należał 17 Pułk Ułanów Wielkopolskich (dowodziłem w nim 1 szwadronem) rozpoczął odwrót na wschód. Mój szwadron miał jako ostatni opuścić rejon Zbąszyna, w którym przebywała Brygada. Otrzymałem rozkaz dołączenia do niej w okolicach Koła. Rozpoczęty wieczorem marsz trwał nieprzerwanie około 28 godzin. Wszystkie odcinki stępa ułani pokonywali idąc koło swoich koni, w stępie odbywało się również karmienie z ręki.

Zarekwirowany motocykl uprzedzał nasze wejście do wiosek. Ludność przygotowywała wodę do pojenia koni. Plutony, wchodzące do wsi, zatrzymywały się tylko na moment pojenia, poczym ruszały dalej. Podczas tego trudnego przemarszu straciliśmy tylko jednego konia, który doznał ochwatu i musieliśmy zostawić go u mijanego gospodarza.

Wyznaczony rejon spotkania osiągnęliśmy około 2-3 nad ranem. Znaleźliśmy się na czele kolumny marszowej Brygady za jej strażą przednią, której funkcję tej nocy pełnił 15 Pułk Ułanów Poznańskich. Po pewnym czasie marszu w kierunku Uniejowa dotarł do mnie rozkaz od dowódcy brygady gen. R. Abrahama, który znajdował się przy straży przedniej. Z kierunku tego dochodziły odgłosy walki ogniowej.

Nadeszły rozkazy:

„Rotmistrz Gutowski ze szwadronem galopem do dowódcy brygady!”

Po 28 godzinach marszu wydałem rozkaz:

„Szwadron za mną galopem marsz!”

Po krótkim czasie wzdłuż kolumny szwadronu dochodzi do mnie meldunek:

„Przewrócił się koń przy taczance!”

Wydałem rozkaz przejścia do stępa. Jeżeli szwadron miał być użyty w boju należało oszczędzać konie. Sam pojechałem galopem do dowódcy.

„A Gutowski, jest pan wreszcie, gdzie pański szwadron?” – przywitał mnie po zameldowaniu generał Abraham.

Wyjaśniłem sytuację i poprosiłem o przedstawienie położenia bojowego.

„Co tu wyjaśniać – irytował się generał – trzeba szarżować, chyba widzi pan cel!”

Z mglistej, kończącej się nocy, przed nami dochodził gęsty ogień karabinów maszynowych i wybuchy pocisków z granatników. W końcu zapoznano mnie z mało widoczną o tej porze sytuacją. 15 Pułk Ułanów, w środku nocy, doszedł do mostu na Warcie pod Uniejowem. Z przeciwnego brzegu przywitał go silny ogień z broni

maszynowej i ostrzał moździerzy. Pułk spieszył się, a następnie zaległ po obu stronach przyczółka mostowego.

„Niech pan szarżuje, panie rotmistrzu!” – powołał rozkaz generał Abraham. Szwadron był już na miejscu. Aby podnieść ducha w zmęczonych żołnierzach, krzyknąłem do nich:

„Chłopcy, 15 Pułk nie może poradzić sobie z Niemcami! Trzeba mu pokazać, jak to się robi!”

Między naszymi oddziałami zawsze istniała rywalizacja, więc apel, może niezbyt elegancki w tych okolicznościach, znakomicie wpłynął na samopoczucie moich ułanów.

Spojrzałem w półmrok i mgłę kończącej się nocy. Majaczyły tam kontury drewnianego mostu na Warcie. Most miał kształt tzw. szewronu opartego kątem na wysepce na środku rzeki. Przez myśl przemknęli mi szwoleżerowie Kozińskiego, szarżujący w porannej mgłę w kolumnie czwórkami wąwóz Somosiery. Różnica taka, że my mamy kolumnę trójkami i droga nie wiedzie pod górę. Za to, z przeciwległego brzegu wałą niemieckie „mg.”, po obu stronach przeprawy rozrywają się pociski moździerzy.

Podaję komendę:

„Szwadron, kolumna plutonów” Plutony, kolumna sekcji! Galopem marsz!”
Dojeżdżam do przyczółka, krzyczę w tył komendę do szarży: „Marsz, marsz!”

Konie poszły cwałem, ułani ryknęli „Hurra!”. Po deskach mostu zadudniły kopyta prawie setki koni. Przez głowę przelatuje myśl – ilu nas przejdzie przez ten most? Ale już drugi brzeg, pierwsza sekcja harcownikami na wprost, druga na lewo, trzecia na prawo.

Adrenalina działa, każdy chce tylko dopaść wroga, którego już niestety nie ma. Umilkł ogień niemiecki. Z niepokojem spoglądam na most, ilu moich tam leży? Żaden ułan, żaden koń!

Z pozostawionych śladów wywnioskowaliśmy, że drugiego brzegu bronił silny patrol motocyklowy z karabinami maszynowymi i granatnikami, nie liczący jednak wielu żołnierzy. W ciemnościach nocy ich silny ogień i niemożność stwierdzenia liczebności wroga spowodowała zalegnięcie naszej straży przedniej. Ale gdy Niemcy usłyszeli okrzyk „hurra!” i tętent setki kopyt, natychmiast wycofali się w kierunku swoich sił głównych. Nie czekali na bezpośrednią konfrontację z naszą kawalerią, która cały czas napawała ich strachem.

Droga dla Wielkopolskiej Brygady Kawalerii była otwarta, wchodziliśmy do bitwy, która do historii przeszła jako Bitwa nad Bzurą!

Robert Woronowicz
(por. rezerwy; instruktor wyszkolenia
kawaleryjskiego Szwadronu Kawalerii WP
i Kawalerii Ochotniczej w Starej Miłosnej)

**W następnym numerze
*Zeszytów Historycznych:***

publikacje m.in.:

- Wspomnienia o gen. Władysławie Sikorskim
- 16 lat – o działalności jednostki GROM
- Wspomnienia środowiska „Parasol”

